



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1,20 zł - 8 stron

Warszawa, 22 listopada 1953 r.

Nr 47 (191) Rok IV

JERZY GLAUS

T r y p t y k w i e j s k i

Pogrzeb

Lęgowa jest wsią, gdzie nie ma świetlicy, nie ma elektryczności, nie ma radia, gdzie do szkoły jest parę kilometrów, a książka i gazeta są rzadkimi gośćmi w chacie. To warunkuje stan umysłów łęgowian i ich ustosunkowanie się do naszej rzeczywistości.

ka z jego dotychczasowej obojętności. Powiada z niezrozumiałą dla mnie złością:

— Ogier, co sam nie wie, że jest ogier! Tyle tylko, że koń stoi w stajni, ale jaki to koń?

— Nie każdemu inwentarz się chowa — wtrąca pojednawczo Uśniakowa. — Jak nie podlec, to choć umieraj na stojąco...

Zapada cisza, przerywana tylko

to: „A czy to karnawał, że bym was obalała?” No, ale pomagam jej w obroceniu się na inny bok, bo już o własnych siłach nie dała rady. Ale potem patrzę po sobie, a tu — laboga! Wszy a wszy łąą po mnie! Wiecie, że jak wszy są u jednego, to i w całym domu są. Więc ja co rychlej do chałupy, rozdziałam się, umyłam, a lachy do gorącego piera po chlebie, no i jakoś

się, uniosła tułów, pod który druga wsunęła siano, po czym wezgroła i przystroila kawałkiem ozdobionego koronką płótna.

Któryś z mężczyzn, wyjrawszy za stodołę, zawołał:

— Książd jedzie!

Na podwórzu zrobił się ruch. Młodzieńcza męska zjawiała się z ogrodu. Do drzwi izby, gdzie leżały zwłoki, zaczęli ścigać uczestnicy pogrzebowej ceremonii.

Uśniakowa pochyliła się do mojego ucha, szepcząc głośno:

— Ciekawa jestem, który książd: młody czy stary?... Taki pogrzeb w rodzinie to drogo kosztuje. Nie każdego nawet stać dzisiaj na umarłego... Więc musieli dla tej Rozalii dać deski na trumnę, a za robotę i wymalowanie pół czwarta metra żyta. Książd zażądał 4 metry zboża i to, jak powiedział — ulgowo i żeby nikomu nie rozpowszechniać, bo w tej rodzinie w ośmiu miesiącach jest to już czwarty pogrzeb...

— Hurtem — to taniej!

Obejrzałem się za siebie: to powiedział Mazek, który już zdążył popić i teraz kiwał się z lekką na szeroko rozstawionych nogach. Kobiety spoglądały na niego ze zgorzeleniem, a Uśniakowa tylko wzruszyła pogardliwie ramieniem i odwróciła się demonstracyjnie. Smakowicie kończyła swoją relację:

— A za przemówienie nad trumną książd każe sobie zapłacić dodatkowo pięć ćwierci żyta. No, a teraz kościelny i grabarz drugie pół czwarta metra zboża (za fałszem, bo ich okłamali, że dobrodziej wziął mniej!), metryki i co tam jeszcze — znów pięć ćwierci. Razem — żarty powiedzie! — przeszło 14 metry. Więc może pan sobie wyliczyć, że przy naszej słabej, piaszczystej ziemi, gdzie więcej jak 8-9 metry z ha nie wyciągnie, to na taki pogrzeb trza zbiór zboża z dwóch hektarów. I do tego „poczesne”...

— Co to jest? — szepnąłem, bo już wóz z księdzem turkotał przy wejściu na podwórze.

— To po pogrzebie przyjęcie dla uczestników żałobnej ceremonii. Podają wędlinę, ciasto, wódkę.

Książd przyjechał „stary”. W siłę wieku, z bardzo krótko przystrożonymi włosami i z rozdziakiem pośrodku głowy. Zdjął zielony, brezentowy płaszcz od kurzu, włożył podaną mu komżę i wszedł do izby. Śpiewał tam uciuchy, po chwili jednak buchnął rytualny, jak się zdaje, lament bratani. Ostatecznie, nagle, nagle się zmienił i boleśń ta do niczego już nie zobowiązywała. Zawodniom tym towarzyszył stukot wbijanych w wieko trumny gwoździ. Zebrani ustawili się w jednym rzucie przed chałupą, po czym trumnę wyniesiono i ustawiono na dwóch krzesłach. Książd stanął przed nią i zaczął krótkie przemówienie, sławiać nie tyle zasługi zmarłej — boć nie wielkiego nie dokonała — ile jej pokorę i cierpienia, którymi z pewnością zażyła sobie na wiekuiłą nagrodę. Mylił

się tylko książd z imieniem nieboszczki, jako że nazywał ją Emilią, aczkolwiek było jej Rozalia.

— Cztery metry żyta wziął, to mógłby się nie mylić — wymamrotał Mazek.

Zasykano nań ze wszystkich stron.

Kiedy książd wspomnił najbliższą rodzinę zmarłej, podchodzili do wprawnym ruchem podstawionej dłoni, całując ją. W czasie tej defilady brat zmarłej strząsał od czasu do czasu łzę z powiek, bratanica zaś pocierając nogę o nogę, by odpedzić szczególnie natrętne muchy, zawodziła bez przerwy.

A potem czterech mężczyzn wzięło trumnę na barki i poprowadzili przez krzyż i dwie żałobne chorągwie, podążyli ku figurze na rozstaju.

Ludzie tu mają wprawę w tego rodzaju obrzędach. Ustawili się sprawnie, czołem do wiodącej ku miastu drodze. Po krótkiej modlitwie mały kondukt ruszył: ci co nieśli krzyż i żałobne chorągwie, książd, wóz z trumną i drugi, przeznaczony na odstawienie książd, wrzeszczą gromadą. Nad tym wszystkim ciążyło nabrzmiałe ciemnymi chmurami niebo, spod którego wyrwały się porywy wiatru, kołyszące lany dojrzwającego zboża. Wiatr uderzał w pył na drodze i pędził go, popychał, jakby plewy z szufli zmiatał. Niebawem książd wsiadł na wóz, na którym nakryte płachtą pęczniały wory ze zbożem, woźnica śmignął batem i wymijał stopniowo kondukt. Wóz z trumną przystanął także. Ludzie z krzyżem i chorągiewami wgramolili się i ruszyli ku miastu, gawędząc niefrasobliwie.

Brat Rozalii pierwszy dźwignął się z kłęczek i, zwracając się twarzą ku gromadzie, rzekł:

— Dziękuję tu obecnym za ostatnią przysługę.

I natychmiast zawtórował mu nabrzmiały izał głos jego córki:

— I prosimy, kto łaskaw, jutro na godzinę ósmą na pogrzeb.

Pszczoly

Zbliżając się do zagrody Uśniaków dostrzegłem już z daleka jakiś niezwykle ruchliwy i biegawny. Zenon wymachiwał miotłą. Uśniakowi po nogach obijało się ciężkie wiadro. Nagle — trrrrr — posłiznął się, wylewając wodę. Machał zabawnie rękoma. Czyżby się paliło? — pomyślałem. Lecz skądże, przecież to sad. Dymu nie widać. Gdyby był pożar — na miejscu byłaby cała wieś, a zgiełk słyszano by z Zambrowie.

— Co się dzi je? — spytałem, przebiegając przez resztki płotu.

Z sadu słychać było jakiś dziwny szum i brzęk.

Pszczoly się wyroili — wyjaśnił Zenon, maczając miotłę w wiadrze i przyskakując wodą na gruszę, wokół której wirował z brzękiem wielki rój pszczół.

KRZYSZTOF GRUSZCZYŃSKI

Skrzydła, które nas strzegą

W lipcu spotkałem go na Rynku Starego Miasta. Wyszedł z kawiarni „Pod Krokodylem” i mrużąc oczy od słońca, patrzył na kolorowe kamieniczki.

To jest coś, przynajmniej — rzekł łaskawie. — To jest dla ludzi.

Przed paroma dniami ujrzałem go znowu. Było to o zmierzchu; w głębi Alei Jerozolimskich, na tle ciemniejącego nieba rysowała się świetlista kreska smukła sylweta Pałacu Kultury.

Z daleka już wymachiwał gazetą.

— A jednak przychodźcie na moje podwórko — triumfował. — Zaczynacie myśleć o ludziach.

Trudno jest dyskutować z filistrem. Ciępi on na szczególny rodzaj ślepoty — ostrzega tylko doraźne korzyści. Stąd jego spojrzenie na produkcję: młynek do kawy jest dla ludzi, a obrabiarka nie wiadomo dla kogo...

Filister nigdy nie zrozumie, skąd ta ofiarność narodu, który w ciągu niewielu lat przekształcił naszą ojczyznę z kraju zacofanego gospodarzo i zniszczonego przez wojnę w jedną z największych, potęg przemysłowych Europy, bo filister nie pojmuje samej istoty ustroju, w którym wszystko, co się robi, robi się dla ludzi. Jeśli mu powiecie, że ciężki przemysł to skrzydła, które nas strzegą, wzruszy ramionami, bo uczucie patriotyzmu jest mu obce. Jeśli mu powiecie, że walka o ogólny dobrobyt wymaga poświęceń, myśli ta wyda mu się absurdalna.

Filister jest człowiekiem o prymitywnych potrzebach — jego nastroje są ściśle zależne od stanu zaopatrzenia sklepów, czas trudności wtrąca go w depresję, jego mdły humanizm zasada się na konsumpcyjnym wyłączeniu stosunku do świata.

Cóż z tego, że opowiecie mu o dziewczynie z podhalańskiej wioski, która dzisiaj w Nowej Hucie z gondoli zawieszanej pod szklanym dachem warsztatu steruje suwnicą, przenoszącą z miejsca na miejsce wielotonowe ciężary? Cóż z tego, że przytoczycie mu historie robotnika, który stał się dyrektorem fa-

bryki? Filister umie dostrzec zmiany, ale tylko na wystawach sklepowych.

Dlatego filister rzy z uciechy, czytając gazety z ubiegłego tygodnia, podsumowanie zwycięstw narodu marzy mu się jego, filistrza, zwycięstwem.

No i pal go diabli... Ale zastanówmy się nad czym innym. Czy i wśród nas, w naszych własnych szeregach, nie znajdują się tacy, którym IX Plenum Partii przypomniało nagle, w imię czego wszystkie nasze poczynania? Sami się może zdziwią, jak mogli o tym zapomnieć, ale fakt faktem. Nie sprostęli się, kiedy ich serca powlekły się warstwą obojętności. Wśród natłoku trosk zagubili gdzieś te najważniejszą — troskę o bliźniego. Słowa, którymi się posługiwali, pustoszały, wyciekała z nich treść, pojęcia takie jak „socjalistyczny stosunek do człowieka” i „socjalistyczny stosunek do pracy” stały się w ich ustach czczymi formułami.

A przecież w tych dwóch pojęciach zawiera się istota przemian psychicznych, jakie zaszły, zachodzą i będą zachodziły w masach naszego narodu, nowe morale budowniczych ustroju, w którym wszystko, co się robi, robi się z myślą o „szczęściu wszystkich”.

Wzrost świadomości nie odbywa się w tym tempie, co wzrost produkcji. Filister kiwa głową:

— Tylko chęć zysku może wywołać uśmiech na ustach sprzedawcy. Tylko chęć zysku może wpłynąć na jakość towaru.

Filister wytyka palcem źle uszyte ubranie na wystawie „MHD”, nieuprzejmie urzędnicze w okienku pocztowym, wykruszone papierosy w odpieczutowanej paczce i wysnuwa stąd pochwałę starego świata.

My zaś wiemy — aby zwalczyć braki w produkcji, trzeba pieścić to, co jest stare w świadomości ludzkiej — egoizm, sobkostwo, małoduszność...

I będziemy się bić, zarówno o produkcję węgla, jak i o uprzejmość urzędnika, zarówno o stal, jak i o jakość potraw w restauracjach, o cement i o ładne onakowania cukierków, o rozwój ciężkiego przemysłu i o uśmiech ulicznej kwiaciarki.

Krzysztof Gruszczyński



Rys. Szymon Kobyliński

Jadąc do Łęgowa zabrałem z sobą cały zwoj pism i ilustracji. Leżały u Uśniaków w kuchni na drewnianym tapczanie. Kto przyszedł — brał niedbale co mu z gazet w rękę wpadło i przeglądał, bez większego zresztą zainteresowania. Uśniak żadnych pism nie prenumeruje. We wszystkich — jak powiada — jest to samo. A kiedy jego 18-letni syn, Zenon, przyniesie książkę z biblioteki szkolnej i czyta ją, starożeg aż ponosi. Wieczorem domstuje, że daremnie wypala się naffę, w dzień natychmiast zasypuje syna napastliwymi pytaniami, czy to, czy owo, czy dziesiąte zrobione? Oczywiście zawsze na coś trafia, co trzeba jeszcze zrobić, a wówczas Zenon z rezygnacją zamyka książkę i wychodzi.

Po zachodzie słońca, zwłaszcza jesienią i zimą, kuchnia Uśniaków, gdzie się koncentruje życie rodziny, staje się ośrodkiem towarzyskim i punktem informacyjnym wsi. Rzecz dziwna: najchętniej i najwięcej rozmawiają o zgonach, o pogrzebach. W wieczór tego przyjazdu rozmowy kręciły się wokół Piotra Osicy, któremu przed paru dniami zmarło się na gruźlicę. W opowieściach tych królowała Uśniakowa:

— Oj, wysechł, powiadam wam... Krowa im się ościła, a chłop umarł. Tak go i nazywali „bidny Pietrzyna”. Nie szczykowało mu się nic. Przed tym zdechła mu krowa i jedyny koń. Teraz została wdowa. Ale gorzej jej nie będzie. Rodzice dopomoga. Dawniej swarzyli się z Piotrem, pomagać nie chcieli...

Uśniakowa stoi przy kuchni z drewnianą łyżką w ręku i coś tam w saganie miesza. Uśniak siedzi na małym zydełku, podkładając drwa pod płytę. Czerwone blaski pełgają mu po dawno nieogolonej twarzy.

— Jak kobieta do rzeczy — wtrąca — to jeszcze wyjdzie za mąż.

Uśniakowa machnęła łyżką potakująco:

— Ożeni się. Diabeł poszuka kominu. Widziałyśmy go, co brały.

— Czy mieli dzieci? — pytam, by okazać zainteresowanie.

— Pięciorka, a szóste w drodze.

— Ależ się uwinęli! Toć był chory.

— Cóż robić? Trzeba za młodu, więc się zwijali. A gdzie są dzieci, jak nie w biedzie?

Potem rozmowa schodzi na konia, którego sąsiad Sankowski dawał wdowie na pogrzeb, a od tego konia już tylko krok do niewywny, którą musieli zapłacić za zwykłastrawienie ogiera. To wyrzyna Uśni-

potrząskiwaniem sosnowych drew, trawionych przez ogień, i poskrobywaniem łyżki o brzegi sagana. Myślę o tym, jak obfituje język tych ludzi w dosadne powiedzonka, jak jest obrazowy, gdy do kuchni wpada mała Marysia Pietrzakówna z wiadomością, że Rozalia Sankowska umarła. Zaraz po wieczornym udaju...

Wiesć ta działa elektryzująco. Uśniakowa zamiera z łyżką w powietrzu, mąż jej wstaje i drapie się powoli w zarośnięty policzek, Zenon zaś, który przed chwilą stanął w drzwiach od sieni, otworzył swe dziecięce jeszcze usta, których otwór czernieje jak duża litera „O” na tle różowych, puciołowych policzków. Pierwsza ociekła się Uśniakowa:

— Istny dopust boży! Już drugie w ciągu tygodnia... — przeżegnała się, jakby w nadziei odpędzenia licha.

Nie potrzebowałem pytać, kto zacytowała Rozalia. Miała, jak mówiono, „siedem dych”, była niezamężna, twarz miała zeszpeconą zajęczą warzą. Zresztą podeszłe lata i nieposilna praca wykoszlały jej drobną postać tak dalece, że Rozalia chodząca na nogach mocno zgiętych w kolanach i te to biedne nogi najpierw zaprzętnęły myśl Uśniakowej. Była zdania, i te by je wyprostować — naiezałoby zmarłej położyć na kolana worek piasku.

Marysia Pietrzakówna z nieoczekiwaną w jej wieku bystrością zakrzyknęła:

— At, poradziłam sobie. Kazali zrobić głębszą trumnę. Rozalia pomieści się w niej wygodnie.

Twarz Uśniakowej, pełna, ogorzała, błyszcząca w świetle lampy naffowej jak gdyby była zrobiona z polerowanej miedzi. Była to twarz, mało rozpoznac można było uczucia, jakie się kłębiły pod niskim, porytym podłużnymi zmarszczkami czołem.

— Wycierpiała się, nieboraczka — westchnęła — więc ta śmierć dla niej i dla jej bratanki będzie wielką ulgą.

— Matka powiada — trajkotała Marysia, rada, że może jak równa z równymi brać udział w rozmowie ze starszymi — że Rozalię wszy żywcem jadły!

Zauważywszy moje poruszenie, Uśniakowa przysiadła:

— Prawdę mówię. Rozalia pracowała w polu i przy domu, poki mogła. Ale potem, jak się położyła do łóżka, to już na ament. Kiedyś byłam tam u nich, więc ta Rozalia prosi: „Obalcie mnie”. A ja jej na

TADEUSZ DANIŁOWICZ

Perspektywa

B ywa, że zwykła wystawa sklepowa z krawatami, pyjamami, tezkami lub pieczywem różnorakim zmienia swoją funkcję usługową. Z informatora staje się głosem. Głosem lepszego życia.

Nic się właściwie zasadniczego nie zmieniło w wyglądzie wystaw sklepów i magazynów warszawskich w niedzielę 15 listopada. Ani masa towarowa, ani jej układ. Drobna tylko karteczka z oznaczeniem nowej, zanionej ceny spełnia rolę najwspanialszego plakatu, głosem wołającego „życie stało się lepsze”.

Niepozorna karteczka cennikowa z zakreślona jedną cyfrą, a zapisana druga na jej miejsce spowodowała powszechne zainteresowanie arytmetyką.

Jeśli zebrać z całego kraju sumy, jakie ludziom pozostała w kieszeni na skutek częściowej obniżki cen, zbierze się niemały „kapitał” 4,5 miliarda złotych w ciągu roku.

Częściowa obniżka cen jest bezpośrednim wynikiem uchwały IX Plenum KC PZPR, jest pierwszym krokiem na drodze do ich pełnej realizacji.

IX Plenum jak wiadomo, postawiło jako naczelne zadanie, zabezpieczenia szybszego niż dotąd wzrostu stopy życiowej mas pracujących.

Celem naszego budownictwa socjalistycznego jest człowiek i wszystkie jego potrzeby materialne i duchowe. Czy rewolucyjne przemiany, jakie zaszły w naszym kraju od 1944 r. nie spowodowały zasadniczej zmiany na lepsze w życiu wszystkich ludzi pracy w Polsce? Czy można nawet porównać los milionów robotników, których dręczyła zmora bezrobocia, niepewność jutra, los 8 milionów „zbędnych” ludzi na wsi z dziesięć latami warunkami, w których człowiek wyprostował się, poczuł się pełnowartościową i zdolną do pokierowania własnym losem i losem kraju jednostką?

Wykonanie 3-letniego planu, minione cztery lata Planu 6-letniego, które zmieniły wygląd kraju, stworzyły dopiero pełne możliwości, skuteczniejszego niż dotąd zaspokojenia potrzeb ludzi.

Bez uprzemysłowienia kraju wszelkie deklaracje na temat polepszenia warunków życia ludzi pozostałyby w sferze krasomówstwa, byłyby gołosłowne i bez pokrycia. Od frazesów ani trochę nie poprawiłyby się ludziom w Polsce. Partia podjęła walkę ze spuścizną kapitalizmu i wojny w Polsce, postawiła przed klasą robotniczą śmiało, choć trudne, zadanie socjalistycznej przebudowy kraju.

Dziś już nie ma potrzeby dowodzić, że tylko ta droga była słuszną, wszystkie inne wskazywane przez „dobrych wujasków” i fałszywych przyjaźniół sprowadziłyby nasz kraj na bezdroża. W przedwojennych wykazach statystycznych długo trzeba było wodzić palcem z góry na dół wzdłuż słupka cyfr, aby wreszcie odnaleźć bardzo blisko końca miejsce Polski we wskaźnikach stopnia uprzemysłowienia krajów Europy. Dziś nasz syn czy córka w podręczniku szkolnym szybko, bo już na piątym miejscu w Europie, znajdzie swój kraj i wspomni słowa towarzysza Bieruta o Polsce, która przestała być krajem biednym i zacofanym. W dziedzinie uprzemysłowienia Polska Ludowa w ciągu niewielu lat zrobiła skok olbrzymi. Istnieje już u nas niezbędna, oparta na nowoczesnej technice baza przemysłowa, która zabezpiecza szybsze, niż dotąd tempo polepszenia warunków materialnych i kulturalnych ludności pracującej. W tej myśli wypowiedzianej przez towarzysza Bieruta na IX Plenum wyrażony jest najistotniejszy sens i cel naszego budownictwa: człowiek.

Czyniąc rachunek naszych zdobyczy i osiągnięć IX Plenum wskazało jednocześnie na niedociągnięcia i poważne braki, które są hamulcem i przeszkodą w osiągnięciu lepszych i szybszych wyników w dziedzinie wzrostu stopy życiowej mas pracujących. Zaczynanie naszego rolnictwa w stosunku do rozwoju przemysłu jest główną przeszkodą wskazaną przez IX Plenum. Dysproporcje między tymi dwiema głównymi gałęziami naszej gospodarki narodowej nie datują się od dziś. Pogłębiły ją jeszcze 3 kolejne lata częściowych nieurodzajów. To jest przyczyna, że ostatnia obniżka cen jeszcze nie objęła mięsa, tłuszczów, nabiału i innych artykułów spo-

życia, uzależnionych od produkcji rolnej. Konieczność importu zboża z zagranicy utrudnia naszą sytuację gospodarczą i osłabia na razie możliwości (mniejszego zaplanowania obniżki cen).

Mówili nam odchyleńcy z prawa: „Zwalniając tempo rozwoju przemysłu, oszczędzając „dobrych gospodarzy”, nie dusicie kulaka, bo on jest głównym naszym żywicielem, zrzędnym z zakładania spółdzielni produkcyjnych — oto droga do zmniejszenia dysproporcji między przemysłem a rolnictwem”. Wtorowali im odchyleńcy z lewa: „Natchmiast jak najwięcej spółdzielni, zakładajcie je wszelkimi metodami, nawet siłą, nawet łamiąc zasadę dobrowoli. Nie liczyć się z indywidualną gospodarką chłopską, im gorzej będzie im się powodziło, tym szybciej pójdą do spółdzielni”. Trzeba przyznać, że obie tendencje były nieraz w praktyce stosowane i przyniosły poważne szkody. W skutkach obiektywnych nie ma różnicy, czy czyniono to z niedojrzałości politycznej i ignorancji, czy też ze złej woli i chęci szkolenia.

IX Plenum wniosło pełną jasność w istotę sojuszu robotniczo-chłopskiego, którego nierozumienie było główną przyczyną braków w pracy politycznej i gospodarczej na wsi. Droga do podwyższenia produkcji rolnej to dokonanie znaczniejszego niż dotychczas wysiłku nad ulepszeniem i rozszerzeniem gospodarstw spółdzielczych z jednoczesną maksymalną pomocą indywidualnej małej i średniorolnej gospodarce chłopskiej, co spowoduje jej większą dochodowość i towarowość, i uniezależni od kulackiego wyzysku. Droga do zmniejszenia dysproporcji prowadzi przez ograniczenie gospodarki kulackiej, a nie przez jej natchmiastową likwidację. Ograniczenie kulaka, to znaczy ograniczyć jego możliwości wyzyskiwania chłopów małej i średniorolnej, co jest głównym źródłem bogacenia się gospodarstw kulackich. IX Plenum i tezy przedzjazdowe wymieniają wszystkie formy pomocy jakie uzyska rolnictwo spółdzielcze i indywidualne w ciągu 2 najbliższych lat, co w rezultacie przyniesie dalszy wzrost produkcji rolnej o 10 proc., a więc możliwość dalszego wzrostu stopy życiowej całej ludności Polski.

Wzmocniona pomoc wsi wymaga znacznego wzmocnienia inwestycji w rolnictwo i w produkcję maszyn rolniczych oraz nawozów sztucznych. Da to wsi nasz przemysł socjalistyczny, nasza klasa robotnicza, która coraz lepiej rozumie swoją rolę kierowniczą w sojuszu robotniczo-chłopskim. Sojusz ten jest sojuszem nie tylko gospodarczym, ale i politycznym. U niewzruszonych jego podstaw leży wspólny interes gospodarczy i polityczny, wspólna troska o los całego kraju.

Poprawa stopy życiowej ludzi pracy to jednak nie tylko większa ilość artykułów spożywczych i po tańszej cenie. IX Plenum podkreśliło również poważne braki w produkcji przemysłu lekkiego, a więc wytwarzającego artykuły konsumpcyjne. Niedawno kiermasz jesienny w Warszawie wskazał, jak bardzo ludzie potrzebują wia der i garnków, wszelkiego sprzętu kuchennego i domowego. Musi znacznie wzrosnąć produkcja odzieży, wyrobów bawełnianych, obuwia itd. Musi znacznie wzrosnąć budownictwo mieszkaniowe, aby jak najszybciej zlikwidować fatalne warunki, w

których ludzie jeszcze mieszkają, szczególnie w Warszawie. Zamiast 17.000 „zbędnych” ich w 1954 r. wybudować w Warszawie 21.000, a w 1955 — 28.000. Skąd na to braci środki? Czy będzie zahamowane budownictwo przemysłu ciężkiego, czy wskaźniki Planu 6-letniego będą w tej dziedzinie zmniejszone? Bynajmniej. Dzięki nagromadzonemu zasobom przewidziany jest taki wzrost dochodu narodowego, przy którym zmniejszając procentowo sumy na inwestycje budownictwa socjalistycznego założonego w Planie 6-letnim, nie zmniejszamy nie w wysokości cyfr absolutnych, nie zmniejszamy rozmiarów tego budownictwa. Podstawą jest tu wzrost dochodu narodowego i jego podział na akumulację i konsumpcję.

Wzrost zaś dochodu narodowego zależy od wielu czynników z których najgłówniejszym jest stosunek człowieka do produkcji. Wśród tych czynników jest przede wszystkim wydajność pracy, oszczędność, zmniejszenie kosztów własnych produkcji przemysłowej, stosunek człowieka do pracy, racjonalna organizacja procesu produkcji i wiele innych. Same uchwały Plenum nie będą skuteczne bez aktywnego, świadomego stosunku człowieka do swej pracy. To z całą mocą powtarza się w referacie tow. Bieruta i w wystąpieniach na Plenum. Oznacza to, że każdy z nas może mieć poważny wpływ na powiększenie dochodu narodowego, a więc na podwyższenie stopy życiowej. W każdym zakładzie pracy muszą zmobilizować swe siły i dyrekcje, i organizacje partyjne i społeczne. W każdym zakładzie pracy musi powstać własny front walki o realizację uchwały IX Plenum, o wyzyskanie rezerw produkcyjnych, o znalezienie środków własnych do poprawy warunków pracy ludzi. Obok walki o sprawę wielką, o plan, musi toczyć się zacięta walka o sprawę może drobniej, ale nie mniej ważną: o stworzenie atmosfery troski o człowieka we wszystkich dziedzinach, troski żarliwej, poszukującej i znajdującej praktyczne możliwości poprawy w tej dziedzinie.

Troska o wykonanie planu przesłaniała niejednemu kierownikowi gospodarstwu czy politycznemu troskę o człowieka wykonującego plan. Ta jednostronność wywarzała złe skutki w wielu odpowiedziach kierowników na kłopoty, na bolączki, skargi. Plan dla planu. A IX Plenum mówi: plan dla człowieka, bo o niego chodzi i dla niego plany się wykonuje. Dbać o pracowników należy nie z filantropii, lecz z najważniejszego obowiązku w stosunku do Państwa, do narodu. To organizacje partyjne i związkowe winny podjąć tę walkę. Na pewno skupią się wokół nich ludzie, pomogą, bo przecież nigdy nie szczędziły sił w walce o sprawy słuszne i sprawiedliwe. Skencen-trować i pokierować tym potężnym nurtem oddajmy — oto warunek pełnego wykonania wskazań naszej Partii.

IX Plenum formułuje swe wskazania głęboko i jasno. Uczy wstąpienia na drogę jeszcze szybszej poprawy warunków życiowych. Uczy nas głęboko pojmować zjawiska, zachodzące w naszym życiu gospodarczym i politycznym. Czyni nas współodpowiedzialnymi za własny los, za los kraju.

Niepozorna kartka cennikowa czeka na dalsze zapisy.

Tadeusz Daniłowicz

SPRAWY NIEOBOJĘTNE

Czy „Twórczość” zasługuje na swoją nazwę?

„M ało uwagi poświęca się zagadnieniom teoretycznym i krytycznym w czasopiśmie literackich. Nie zamieszczają one prac zasadniczych, dotyczących zagadnień estetyki marksistowskiej. Poziom teoretyczny artykułów krytycznych nie jest wysoki”. „Za mało jest rozpraw, demaskujących reakcyjne, imperialistyczne ideologie”. Nie jest to jedyna opinia oficjalna, wyrażająca niezadowolenie z powodu upadku naszej krytyki. Na wiosnę br. minister Wilczek domaga się wyższego poziomu prac krytycznych, które wyreklamują się do blachy sprawozdań, lub powierzchownych recenzji, poprzestających na stwierdzeniu mniejszej lub większej „bujowości”, „postępowości” dzieła, czy jego „układu do walki o pokój”.

Czy jednak wyłącznie do krytyki należą mieć pretensje o stan naszego piśmistwa teoretyczno-literackiego? Dostatkowo się krytyki musi być rezultatem bezustannej dyskusji: czy istnieje w Polsce wydawnictwo, które uważałoby za rację swego bytu podtrzymywanie podobnej polemiki? Nie jest nim „Nowa Kultura”, obowiązująca do akcji aktualno-przeglądowej, na wąskiej przestrzeni osmiu stron druku co tydzień; z podobnej przyczyny ani „Przegląd Kulturalny”, ani „Życie Literackie” nie mogą podjąć zadania kształtowania naszej „wielkiej” krytyki, jako zadania głównego.

Sądziłem zawsze, że zadanie to spoczywa przede wszystkim na redakcji „Twórczości”; okazało się jednak, że wydawcy tego miesięcznika inaczej wyobrażają sobie jego formułę. Według popularnego żartu, pismo to winno zmienić tytuł „Twórczość” na „Co miesiąc powieści”, lub nawet „Co miesiąc dwie powieści”. Utwory ukazujące się tu w odcinkach, nie należą — na dadek — do gatunku trudnego, nie reprezentują nazwisk nowych, nie wyrażają poszukiwań tematycznych czy problemowych. Są to powieści, które pod koniec publikowania ich w „Twórczości” — albo nawet równolegle — ukazują się w formie książkowej, i to stale w tej samej spółdzielni wydawniczej („Czytelnik”), sąsiadującej z lokalem „Twórczości” o dwa okna, co zapewne ułatwia pracę redakcji.

Dublowanie wydawnictwa powieściowego jest więc główną misją „Twórczości”, ponieważ poza odcinkami beletrystycznymi pismo zamieszcza tylko parę wierszy, ewentualnie — na pierwszej stronie — dokument o doniosłości państwowej przedrukowany z prasy codziennej oraz parę młodych, bezwartościowych sprawozdań, pozabawionych profilu krytycznego, ograniczających się do streszczenia omawianego utworu z wyciągnięciem kilku budujących wniosków, które rzadko przekraczają granicę sloganu.

Nie widać więc, by można w tym upatrywać rację bytu „Twórczości”; istnienie jej nie jest ważne nawet dla owych kilku poczytnych autorów, tu przedrukowanych jeszcze raz, co nawet dla nich nie ma znaczenia decydującego, skoro książki ich osiągną i tak liczne wydania. W ten sposób „Twórczość” stała się najbardziej martwym z polskich periodyków literackich. Od wielu miesięcy nie czyta się dyskusji, nie słyszy polemiki, nawet prywatnie, wywołanej przez jakikolwiek tekst opubli-

kowany w „Twórczości”; przeciw nie, stykamy się z deklaracją: „Nie biorę do ręki tego pisma od roku — czy ono jeszcze wychodzi?” „Nie warto czytać „Twórczości”, trzeba czekać miesiąc na następny odcinek powieści — wólcę za jakiś czas przeczytać już wydaną książkę”.

Ponieważ „Twórczość” jest jedynym miesięcznikiem literackim, odpowiedzialność ciężką na niej jest znaczna. Dla „Twórczości” — drogą osobistego paradoksu — sytuacja podobna jest pretekstem, by się od owej odpowiedzialności uchylać. Nie bierze ona na swoje barki żadnej z wielkich dyskusji ideologicznych, torujących drogę naszej kulturze w ciągu lat ostatnich. Nie widać w „Twórczości” śladu rozprawy, że schematyzmem i burżuazyjnym estetyzmem, które poruszyło środowisko twórcze w roku 1952 i 1953. Nie spotykamy tu próby pogłębienia problematyki realizmu, który w trudzie wykrzesuje nową sztukę polską. Nie zainteresowały „Twórczości” mniejsze nawet doniosłości dyskusje, polemiki czy konflikty intelektualne, charakterystyczne w latach ostatnich — jak spór o ocenę dwudziestolecia. W mozołnej tej walce „Twórczość” jest nieobecna, jest poza obrębem kształtowania się naszej kultury, znajduje się w pozycji dezercyjnej, ukryta za kolejnymi XVII, XVIII, XIX rozdziałami powieści, przepłconej przekładami z „Oniegiina”, Wiktora Hugo itd.

W wyborze owych powieści „Twórczość” nie kieruje się ryzykiem; są to „pewniki”, utwory, które nie dotyczą kłopotliwych problemów. Nie jest tajemnicą, że „Twórczość” odrzuca „Początek opowieści” Mariana Brandysa, nowelę Bocheńskiego, „Lewanty” Brauna — ta ostatnia książka, która wywołała żarte polemiki, nie doczekała się nawet recenzji w „Twórczości”. Nie było dyskusji nad żadną z powieści „Twórczości”. „Twórczość” woli nie uplatywać się ryzykownie w żywym, krwistym, czasem drastycznym dyskusję, jaką budzi chropawa nieraz proza młodych autorów, szukających wernego obrazu współczesności.

W rozmowach z osobami bardzo niechętnymi, usiłującymi usprawnić politykę „Twórczości”, spotykamy dziwaczny argument — „miesięcznik ten uzorowany jest na wydawnictwach radzieckich”. Idzie tu jakoby o to, że „Znamja”, „Nowy mir” i in. też drukują powieści w odcinkach. Weźmy wszakże miesięcznik taki jak „Zwiewa” — organ, podobnie jak „Twórczość”, Związku Pisarzy. Weźmy do ręki jakikolwiek numer np. lipcowy — z miesiąca ogórkowego! — czy znajdziemy w „Twórczości” podobne szkice, co studium Płauskina o Jorge Amado, czy rozprawę w rodzaju Rejowa „O pojęciu formy dzieła artystycznego”? Nie mówiąc już o tym, że w ZSRR publikuje się setki prac krytycznych w broszurze, jak studium Ignatiewa o teatrze hiszpańskim w XVII wieku, czy przeszło stustronicową rozprawę Szmidta o „Teatrze Bałzaka” — jedyną pozycję na ten temat w krytyce światowej. Przytaczamy tu uмышленie przykłady świadczące o rozpiętości tematyki w krytyce radzieckiej. „Zwiewa” podobnie jak „Oktabr” i „Znamja” zamieszcza powieści ale nie więcej jak w 3-4 odcinkach, gdy „Twórczość” robi to w 7 i 10; w pismach radzieckich dział prozy nie unicestwia innych, uprawiając one z arwanością literacki i beletrystyczny.

Toczą się u nas rozmowy o degeneracji, czy nawet zaniku szkicu literackiego (esejów) jako gatunku; „Twórczość”, podobno, nie posiada materiału, „nie ma co drukować”. Jest to klasyczny przykład zagadnienia, co było wcześniej jakko czy kura; bowiem zanik eseju daje się też wytłumaczyć faktem, że „Twórczość”, jedyną pismo tego rodzaju, utworów w tym gatunku literackim nie zamieszcza. Krytyczno-esejści muszą uzbierać się w cierpliwość i złożyć jeszcze jedną szufladę, równoległą — o ironio! — do tych jakie zainstalowali pisarze-esteci, surrealiści i inni rozbitkowie kultury burżuazyjnej.

To nastawienie redakcji „Twórczości” jest rezultatem obawy przed popełnieniem błędów, przed ryzykiem, jakie pociąga za sobą publikacja pracy ambitnej, myślowo poszukującej, torującej nowe drogi. W ten sposób programem „Twórczości” stała się asekuracja, ostrożność, nieobecność przy pozorach obecności.

Jaskrawe błędy „Twórczości” powinna wytknąć i znaleźć sposoby zaradzenia im — dyskusja nad „Twórczością”, jaka odbędzie się w Związku Literatów.

Zk.

MIKOŁAJ REJ

RÓŻNE PRZYPADKI ŚWIATA I IGO

Wybór utworów satyrycznych
Wybór i opracowanie Antoniny Jęlców
Wstęp Kazimierza Budzyka
Ilustracje Maji Berezowskiej

str. 180

w opr. płt. 12 30...

PAŃSTWOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY

K 17207-1

Alina Rybicka

SPRAWY WYDAWNICZE

Czy rok bez debiutów powieściowych?

100 powieści polskich pisarzy współczesnych ukazało się w roku bieżącym do 1 października. Z tej liczby 85 powieści wydali trzej wydawcy: „Czytelnik” — 39, PIW — 29 i Wyd. Min. Obrony Narodowej — 17, w łącznym nakładzie 1.707.000 egz. Pozostałe powieści ukazały się w różnych wydawnictwach o niewielkich działach beletrystyki.

Blizsza analiza 85 powieści wielkich wydawnictw beletrystycznych wskazuje na przewagę wznowień nad pierwszymi wydawnictwami — 53 tytuły, 62,5 proc. Jeśli umownie nazwać „pisarzami starszego pokolenia” autorów, których choćby jedna powieść ukazała się przed 1939 r., to ich utwory wydane w roku bieżącym stanowią prawie połowę tytułów (40) i 40 proc. (680.000 egz.) nakładów, a ich wznowienia — przeszło połowę wznowień (27). Również wśród pierwszych wydań utworów „pisarzy starszych” stanowią poważną część (13 tyt., 40 proc.).

Jeśli równie umownie nazwać powieściopisarzy, którzy debiutowali już w Polsce Ludowej „młodszym pokoleniem”, to wydano w czołowych wydawnictwach w pierwszych trzech kwartałach 45 ich powieści o łącznym nakładzie przeszło miliona egzemplarzy. Z tego jednak prawie 60 proc. tytułów i aż 77 proc. nakładów stanowią wznowienia. Wśród tych powieści autorów „młodego pokolenia” wyjątkowo mało jest w tym roku debiutów: 2 w „Czytelniku” (Kogut i Wilbik-Jaguszynowa), jeden (Biliński) w wyd. MON, podczas gdy w r. 1952 tylko „Czytelnik” wydał 9 tomów debiutów-prozaików.

Drugim bardzo ważnym zjawiskiem roku jest zanikoma ilość pozycji poświęconych tematyce powojennej — 9 na 32. Przeważają przy tym reportaże i opowiadania.

Ten krótki przegląd — ograniczony świadomością do danych ilościowych — wskazuje jak małą jeszcze rolę odgrywa powieść współczesna — 100 pozycji wraz ze wznowieniami — w porównaniu z ok. 150 pozycjami prozy klasycznych, 256 tytułami literatury pięknej przekładowej — czy chociażby 47 tomikami współczesnej poezji. Około 2 milionów egzemplarzy współczesnej prozy, z tego niewiele ponad 100.000 egz. powieści związanych tematycznie z czasami dokonującej się u nas rewolucji, na tle 14.821 tys. egzemplarzy literatury pięknej wydanej łącznie w tym okresie — to stanowczo za mało.

Winimy za ten stan i rzeczy wydawców — mimo że zachowują oni praktycznie nigdy nie realizowane rezerwy w planie wydaw-

nictw na nowe powieści polskie, nie zalega żaden — jak twierdzą — dojrzały do druku maszynopis, a podpisane do druku — wydawane są z największym pośpiechem. Można jednak na pewno wytknąć opieszałą często sygnalizację wyczerpanych książek, zbyt niskie nakłady (przykład: 7.000 egz. „Lewantów”, rozprzeczonych w ciągu miesiąca). Nie w tej notatce miejsce na apele do pisarzy, czy rachunki sumienia za niewykonane w terminie (z reguły) zobowiązania autorskie.

Alie czy stan tegorocznych debiutów nie sygnalizuje braków w pracy z młodymi? Zlikwidowane zostały poradnie dla początkujących pisarzy — słusznie postulowano przeniesienie ciężaru pracy do kół młodych przy oddziałach ZMP. Ale młodzi żądają — ostatnio w dyskusji na łamach prasy — próby druku, wywierając nacisk na wydawców, bo wydanie książki jest jedynym sposobem poddania utworu krytyce... „Czytelnik” dostaje miesięcznie ponad 30 maszynopisów, w tej liczbie ok. 15 tomów (ok. 200 rocznie!) opowiadań lub powieści. Na konkursy „Iskier” wpływają setki maszynopisów prozy.

Zalóżmy, że skrupulatnie wszystkie zrecenzowano w wydawnictwie, założmy, że słusznie zalecane, że żadna z tych zadużonych prac rocznie nie nadawała się do druku. Ale w wielu pracach jest przecież iskra talentu, w niektórych dobre, nadające się do druku fragmenty. Czego więcej żądamy od wydawcy w takim wypadku, jak obszerny listu, nie zadowolonego, z jakąś uwagą i słowem zachęty?

Alie jest przecież prasa, są czasopisma. Cóż z tego, kiedy utwor młodego pisarza drukowany nawet w „Twórczości”, nie mówiąc o prasie, nie dostąpi nigdy zaszczytu recenzji. A to jest jedyna droga: rozszerzenie sieci almanachów, ewent. periodyków literackich typu „Twórczości”, śmiało otwarcie ich łamów dla debiutantów, poddawanie ich utworów życiowej, rzeczowej krytyce, — to jest główna forma pomocy starszych pisarzy — młodzi, to jest twórcza forma szkolenia młodziejszych pisarzy. Wydawcy w interesie czytelnika muszą żądać dojrzałości artystycznej, widzą w maszynopisie — książkę. Malonakładowe almanachy wojewódzkie drukujące fragmenty lub całości utworów z tą przyszłościową iskrą talentu stają się szkołą warsztatową, stwarzają warunki dojrzewania młodych pisarzy. Pod warunkiem jednak zerwania z mową milczenia krytyków wokół utworów drukowanych w almanachach, czasopiśmie i prasie.

Adam Bromberg

Garść faktów

—...P o co pani należy do tej biblioteki. Przecież tam same bożewickie książki.

— Ale wie pani — Klimkowa jest trochę zaskoczona — żeby tak zupełnie same bolszewickie to nie powiem. O, niedawno czytałam „Pamiętnik Wacławowy” Orzeszkowej, i Sienkiewicza, i „Wierna rzeka” Żeromskiego...

Golebiowska z politowaniem kiwa głową.

— I pani wierzy, że to są polskie książki? Przecież to wszystko po-przerabiane! Mój zięć, ten co to teraz pracuje w tej spółdzielni mieszkaj, to opowiadał nam jak to wszystko przerabiali. A co nie mówi, że przetrzebił? Przecież ja bym się tak prędko nie dała.

— No to chwala Bogu! A ja już myślałam, że nieszczęście, kiedy nawet pani Klimkowa, taka porządna kobieta... No to chwala Bogu. Ale do tej ich biblioteki niech pani więcej nie idzie. W naszej parafialnej są piękne polskie książki, jakich pani już nigdzie teraz nie znajdzie. Golebiowska pośpiesznie szpera w koszyku.

— O, widzi pani.

— „Harde dusze” Mieczysława Żurczyńskiego. Książkę otwiera na str.

94: — „Patrzył chwilę, jak w po-

ruszeniu się tych ust przesłanych, lśni białe perłowych ząbków sznur i dyszący, z powrotem wplł drapieżne wargi, ociekające ciemną purpurą krwi na jej wonne ciało...”

— No, nie śliczna książka? Mówię pani, jednym tchem przeczytałam. A jacy oni byli dumni, jacy szlachetni... No, mówię pani, po prostu nazywać się nie można. Chodźmy. Zapisze się pani?

— Chyba tak... My Polacy czytamy książki polskie... — powtarza niepokojnie za Golebiowską.

*

— Przed szkołą grupka podnieconych dzieci. Tłoczą się, rozpychają, stają na palce. Na czerwonych ceglach nowego muru lśni biała kartka z wyraźnym tekstem pisanym na maszynie: „Bracia Polacy! Nie mordujcie księży! Księża są niewinni!”

— Zamordowali księdza!

— Księdza prefekta!

— Kto zamordował?

— Co teraz będzie?

Gromadka coraz liczniejsza. Zde-rzają się teckzi, bloki, tornistry, i miękkie worki z ciapami.

— Zamordowali!...

— ... księdza!...

— ... prefekta!...

Dygoce strach na ciekawych nogach. Zosia wybuchła płaczem. Podniecony krzyk bije w zamknięte okna szkoły.

— Księdza prefekta zamordowali!...

Zagodnie skrzypi furtka. Ścieżka, między trawnikami idzie wysoka postać. Październikowy wiatr powiewa czarną sataną. Pogodnie błyskają nikielowe okucia teckzi, odbijając poranne, sennie słońce. Ksiądz spokojnie wchodzi na scho-

KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI

Rysunki Jana Marcina Szancera

P I E Ś N I

I

Gdy próg domu przestępujesz,
to tak jakby noc sierpniowa
zaszumiła wśród listowia,
a ty przodem postępujesz.

A za tobą cienie ptasie,
szczygieł, gil i inne ptaki.
Świecisz światłem wielorakim
od sierpniowej nocy jasniej.

Bo ty jesteś ornamentem
w gmachu nocy, jej księżycem.
Przesypujesz światła w rękę,
z namaszczeniem, jak pszenicę.

U twych ramion płaszcz powisa
krzykliwy, z leśnego ptactwa,
długi przez cały korytarz,
przez podwórze, aż gdzie gwiazda

Venus. A tyś lot i górnosc
chmur, blask wody i kamienia.
Chciałbym oczu twoich chmurności
ocalić od zapomnienia.

II

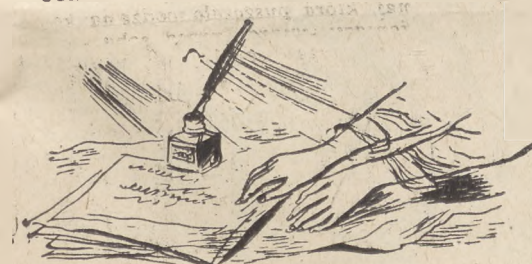
Pochylony nad mým stołem
we wschodzącej zorzy łunie
ręce twoje opisuję,
serce twoje opisuję;

smak twych ust jak morwa cierpki
i głosu pochmurną słodycz
i uszy twe jak wysepki,
które zdala widział Odyss.

Ten obłok jest twoją twarzą,
ten horyzont, ta akacja.
Pióro maczam w kałamarzu
i litery wyprowadzam.

Niech staną rządek przy rządku
jak ptaki złote i modre,
by z najprawdziwszego wątku
powstał najprawdziwszy portret.

Minął dzień. Wciąż prędzej, prędzej
szybuję czas bez wytchnienia.
A ja chciałbym twoje ręce
ocalić od zapomnienia.



III

Ile razem dróg przebytych?
Ile ścieżek przedemptanych?
Ile deszczów, ile śniegów
wiszących nad latarniami?

STANISŁAW WITOLD BALICKI

Epilog winien

„S zła próba z „Horsztyńskiego”; — uzgodnili byli przed tygodniem z reżyserem Bieleckim całą tę sprawę, jaka się rozegrać miała na scenie — i, że stanowczo bez parszywych doróbek, bez któregośkolwiek z czterech głupkowato projektowanych zakończeń; nie potrzeba; przecież i tak cały tragizm, i jaki! jest w tych słowach Szczęsnego: „nie widzę żadnej drogi przed sobą” — tylko je powiedzieć tak, żeby przekroczyć rampe i eksplodowały na widowni; do wszystko. Bez wybuchu w finale też się obejdzie; finalefekt — jeszcze czego! — a od czegoż słowo?! — reżyserko tak trzeba przygotować, podciągnąć, dać to wszystko, co do tych słów zmierza: — „nie widzę żadnej drogi przed sobą... co robić? — powiedz wahająca się myśli, co robić?...”

Takie postulaty inscenizacyjne Emila Zegadłowicza znajdujemy w jego „Motorach” (pisanych w latach 1936-37), w ściśle autobiograficznym fragmencie charakteryzującym przygotowania do katowickiego przedstawienia z jesieni 1933 r. Prowadził reżyserko „Horsztyńskiego” Zygmunt Biesiadecki; Zegadłowicz był kierownikiem literackim Teatru Śląskiego. Jego protest dotyczył

zarówno przeróbek i uzupełnień Juliusza Mięna popularnych zwłaszcza na scenach krakowskiej i warszawskiej, Aurelego Urbańskiego używanych znów we Lwowie, jak i książkowego projektu J. A. Kisielewskiego oraz, na pewno, opracowania Juliusza Osterwy, który swe dziwaczne, pełne formalistycznych chwytów żałobne misterium o Szczęsnym Kossakowskim grał w Krakowie na kilka miesięcy przed katowicką premierą.

Postulaty Zegadłowicza, nie będąc zresztą już wówczas odosobnionymi, zmierzały do jak największej czystości tekstu Słowackiego, a więc i wierności jego myśli, tym samym koncentrowały uwagę dokoła tragedii Szczęsnego, tragedii człowieka chorego na silną anemię woli, widzącego swoje miejsce w wymagowanym „kraju niepotrzebnych”.

Niemoc powzięcia decyzji, gdy przychodzi wybierać między przywiązaniem do ojca i jego srodowiska magnacko-targowiczan-skiego zdradzającego naród, a dostrzeganiem i rozumianiem przez Szczęsnego wielkością i słuszością sprawy obozu patriotycznego i rewolucyjnego, nie jest jedynym, choć jest dominującym konfliktem w duszy hetmanowicza. Bogactwo realistycznego wyposażenia

Ile listów, ile rozstań,
ciężkich godzin w miastach wielu?
I znów upór, żeby powstać
i znów iść i dojść do celu.



Ile w trudzie nieustannym
wspólnych zmartwień, wspólnych
dążeń?

Ile chlebów rozkrajanych?
Pocałunków? Schodów? Książek?

Ile lat nad strof tworzeniem?
Ile krzyku w poematy?
Ile chwil przy Beethovenie?
Przy Corellim? Przy Scarlattim?

Twe oczy jak piękne świece,
a w sercu źródło promienia.
Więc ja chciałbym twoje serce
ocalić od zapomnienia.

IV

Oto jest nasz dzień codzienny,
nasze małe budowanie,
trud uparty i niezmienny,
nieustanne kształtowanie.



Słońce wschodzi i zachodzi,
drzewa kwitną, liście ronia,
my strumień rzeczywistości
kształtujemy naszą dłońią.

Jesteśmy częstką w zespole,
z niego płynie nasza siła —
żeby chleb leżał na stole,
a pracom lampa świeciła;

by czas jak pochodnia płonął
jednak: dzień, czy mgła nocna.
Stoimy przy życiu, żono,
jako tkacke przy swych krosnach.

Z dnia na dzień tkaninę tkamy
wzorzystą dla pokolenia.
Chciałbym i blask naszej lampy
ocalić od zapomnienia.

V

Garniemy się do muzyki,
muzyka to jest nasz festyn,
kochamy trąbki i smyki,
obój, klarnet i klawesyn.

Jest w domu lichtarz nieduży
z wysoką świecą szkarłatną;
ona do koncertów służy,
do dźwięku dodaje światło.

Ty ją zapalasz w godzinie
muzycznej i płomyk świeci
w chwili, gdy z głośnika płynie
Koncert Brandenburski Trzeci.

Radość jak poważny taniec
przesuwa swój cień po ścianach.
I pada świecy pełganie
na twarz Jana Sebastiana.

Lipski kantor bardzo mile
uśmiecha się zza oszklenia.
Chciałbym wszystkie takie chwile
ocalić od zapomnienia.

VI

Nie jesteśmy, by spożywać
urok świata, ale po to,
by go tworzyć i przetaczać
przez czasy jak skałę złotą.

Choćby i po razy tysiąc
osaczyły nas trudności,
my idziemy blaskiem bijąc
w urodę maszyn i roślin.

W poczekalniach kin srebrzystych,
gdy zadymka śnieżna bredzi,
nieraz siadamy strudzeni,
strudzonych ludzi sąsiedzi.

Dni i noce z nami biegają,
a my z nimi ku przodowi,
w trudzie tworząc piękno, piękno,
które znów służy trudowi.

Z chmury zwisa śnieg z ukosa,
twarz twoją w srebro przemienia.
Chciałbym śnieg na twoich włosach
ocalić od zapomnienia.

VII

Cząstka pracy wykonana
i znów cząstka i znów cząstka
i znów noc, i znów od rana
do cząstki dodana cząstka.

Słońce serca nam przeszywa
i biją, wdzięczne blaskowi.
Rękami pchamy tworzywa
od bezkształtu ku kształtowi.



Rys. Anna Pomianowska
Adwentowicz w roli Horsztyńskiego

Artyzmowi widzenia epoki i kształtowania postaci bynajmniej nie przeszkadza poważne zaangażowanie się poety w sprawy tych

Kształtami świat zaludniają
do prac przyłożone dłonie.
Tętnią prace. Tak powstają
wiersze, domy i symfonie.

Znów noc. Jak ludzie wysocy
stoją świerki. Śnieg się sypie.
Gwiazdy świecą w głębi nocy
jakby w głębi wielkich skrzypiec.

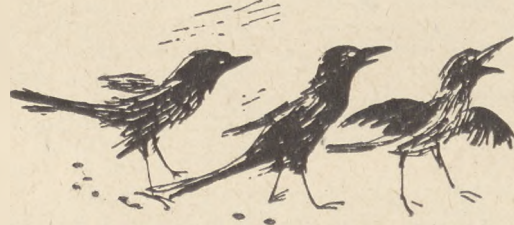
A za oknem migotliwie
Venus gałąz opromienia.
Chciałbym i ten błysk na szybko
ocalić od zapomnienia.

VIII

Na Moście Poniatowskiego
wiatr śnieg ukośnie rozkłada.
Na Moście Poniatowskiego
śniegiem kurzy balustrada.

Latarnia w oczy nas razi,
ośniewiona do połowy.
Niewiele ludzi zgromadził
przystanek autobusowy:

tylko nas dwoje. Stoimy
przy tym przystanku, nad rzeką —
dwoje ludzi w głębi zimy
jak w głębi lasu białego.



Parę by tu wron postawić,
tak ze trzy, pośrodku jeźdni,
poobracać je dziobami
ku sobie, na śniegu gwieźdnym.

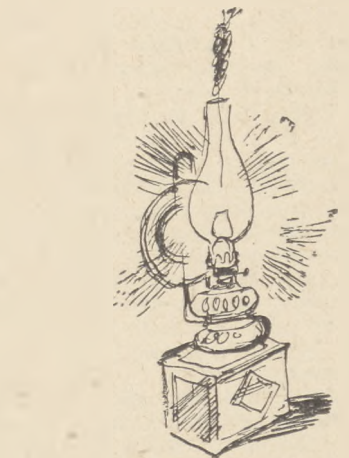
Niech by stały. Wiatr niech wionie
wzdłuż i chmurom twarze zmienia.
Chciałbym i te trzy lby wronie
ocalić od zapomnienia.

IX

Piszę ten list, moja droga,
z leśniczówki, w chwili takiej,
gdy stoi lampa naftowa
na pudle od kostek maggi.

W pokoju nie ma nikogo.
Zmierzch. Zegarek tyka lekko.
Drzwi się otwarły. Na progu
staje matka leśniczego.

Zatroskana, zatroskana,
cała w cieniach od zgryzoty.
Mówi: „Znowu, proszę pana,
słychać w chmurach samoloty.



Ja się, proszę pana, nie znam,
ale to wielka maszyna.
Ja wiem, że to nic, a jednak
groźny czas się przypomina.”

Matko, podnieś pięść do góry,
miliard tych pięści ma ziemia.
Chciałbym na czole twym chmury
ocalić od zapomnienia.

X

Wybaczcie mi ludzie, jeśli
w tych pieśniach dałem tak mało,
że nie takie noszę pieśni,
jakie by nieść należało;

że tyle tu tych „piękności”,
ptaków, różnych pobrzekadeł,
złocistości, srebrozłocistości,
„księżyców”, „Bachów” i „światła”.

Cóż, kocham światło. Promieniem
jak umiem wiersze obdzielam.
O, gdybym mógł to bym zmienił
cały świat w jeden kandelabr.

Myślę, że po to są wiersze,
ich ruch ku sercu człowieka,
by szerzej szła, coraz szerzej
przez kontynenty jutrenka

światłami po wszystkich placach,
światłami w każdej ulicy,
ta Eos różanopalcu
z dumną twarzą robotnicy.

Jesteśmy w pół drogi. Droga
pędzi z nami bez wytchnienia.
Chciałbym i mój ślad na drogach
ocalić od zapomnienia.



Teatr Polski teraz swym jubileuszowym spektaklem udowodnił, że również jakże najzupełniej niepotrzebne. Udowodnił to — w dobrym i w złym.

Inszenizacja Edmunda Wiercińskiego, korzystająca przy ustalaniu tekstu tragedii ze współpracy Leona Kruczkowskiego, nadzwyczaj kulturalnie załatwiła lukę w utworze posługując się stale tekstem poety zaczerpniętym z innych scen lub wariantów. Natrafiono właściwie na jedno tylko trudniejsze do rozwiązania miejsce w scenie spotkana Szczęsnego z uczującą szlachną targowiczańską partii. I tu powściągliwość i takt realizatorów, wsparte o słuszną w zasadzie analizę wartości ideologicznych i poetyckich dzieła, rozwoju myślowego tragedii Szczęsnego, dały — przy użyciu kilku przestawek zdaniowych oraz bezsłownych reżyserskich i aktorskich środków wyrazu — najlepsze z dotychczas istniejących odczytań i rozwiązań.

To jest to, co uznać należy za szczególnie dobre w prawdziwym przekazaniu widzowi romantycznej tragedii Słowackiego.

Zło najpoważniejsze — zdaniem oczywiście moim — znalazło się na końcu inscenizacji. Realizatorzy jakby nagle stracili wiarę we własne sceniczne osiągnięcie, zaufanie do widzów, co gorsza jakby zawiedli się na samym Słowackim. Zapomniałszy o swej szlachetnej intencji dania jednorodnego my-

(Dokończenie na str. 4)

T r y p t y k w i e j s k i

(Dokończenie ze str. 1)

— A co, to jednak u was też się mówi o założeniu spółdzielni produkcyjnej?

— A kręca się — mruknął Uśniak niechętnie — a najwięcej to Mazek, Szalborski i wdowa po Pietruku Osicy. Dla niej to jedyny ratunek.

— Każdy kto patrzy dalej własnego nosa, będzie dążył do spółdzielni. A ule w pewnej części nawet po przystąpieniu do spółdzielni pozostaną waszą własnością.

Uśniak, jak się zdaje, postanowił zabytnąć wobec gościa z miasta. Ostatecznie to nie nie kosztuje. Robiąc zatem szeroki gest w stronę uli, powiedział:

— Mnie tam na nich nie zależy. Ja nie taki znów paźerny... I jakby przyszło o to czego, to czy to ze spółdzielni, czy z sąsiadami, który nie ma, podzielić się zawsze mogę...

Nadszedł Zenon, przynosząc pretekst uwieszony na długiej żerdzi, siatkę i krótką drabinę. Uśniak przystąpił ją do drzewa, Zenon zaś lał i kłął:

— Cho... lender! Kolacja jest ta grusza, ani się dostać.

— Ostrożnie, ostrożnie! — straszył Uśniak. — Pszczoły otrąsasz. Poleca, w diabły poleca!

Ul tymczasem coraz bardziej nabizmiewał brzękiem. Pszczoły roily się koło niego gęstą chmurką, jak komary w pogodny dzień nad wodą. W pełnym napięciu spojrzeniu Zenona widniało pytanie, czy drugi rój również się wyroi? Obawa jednak była pionna. Pszczoły coraz liczniej odciążały się z gruszy, żywa narażała na galezi topniała jak sople lodu w wiosennym słońcu, wreszcie rój oderwał się, zawirując i, kołując w białą południową, brzęcząc wielkimi tysiącami głosów płynął jak ciemna, zwiewna chmurka ku lasowi.

Uśniak z pasją rzucił wiadom o ziemię: — Czego się gapisz?! — krzyknął na syna. — Chybaż za nim! Nie widzisz, że do Szalborskich leca?

Szalborscy, zniszczeni doszczętnie w czasie okupacji przez hitlerowców, czas jakiś kątem mieszkał u Uśniaka, odrabiając w czasie żniw, sianokosów i wykopek za pokomornie, za parę brud kartofli. Zarabiali na życie wyrabianiem kosów z korzeni sosen i jałowca i drogą nieustannych wyrzeczonych wybudowali sobie pod lasem malutką chałupkę na kupionych od Uśniaka paru arach ziemi. Szalborska chwala kilka kokoszek i wieprzka, on zaś znajdował sobie ul, jednakże na kilkadziesiąt złotych na kupno roju nie mógł się jeszcze zdobyć.

Szalborskiego, który na chwilę wyszedł ze swej izdebki, zastanowił niezwykle brzęk. Niby cichy, oddalony, a przecież intensywny. Stary przyslonił oczy daskiem z zamorusanej dloni i oczom nie wierzył: od pola zbliżał się, wirując w słońcu, rój.

Gdzie osiadłże na jednej z odwiecznych sosen, czy poleci dalej? Rój, szumiąc, krążył czas jakiś nad jego chatką i nagle opadł na jego nowiuteńki ul! Pszczoły w mgieniu oka oblepiły wejście i po chwili ul brzmiał jak kłaknia tysiącem pracujących wrzescem.

— Zośka, Zośka! — wołał żonę zachłystującym się z radości głosem Szalborski. — Chodzi-no!

Wówczas właśnie dopadł Szalborskich zdyszany Uśniak z przetaikiem w rękę:

— Moje pszczoły, mój rój!

Szalborski w milczeniu wycierał palce w swe wielokrotnie łatane spodnie. Potarli zarost dawno niegolonej brody. Wreszcie odważył się powiedzieć:

— Pszczoły w lesie, panie, są nicyje.

— Mój rój, moje pszczoły! — krzyczał Uśniak, idąc ku ulowi z rozpostartymi ramionami, jakby chciał w nie zgarnąć szumiący rój.

— Nie dam! Świadców postawię!

Szalborska, splótłszy palce na swym ciężarnym łonie i przechylszy jak ptak głowę na lewe ramie, przyglądała się Uśniakowi z dziecienną wprost ciekawością. Odwróciła się godnie i znikając za progiem swej chatki rzecz całą rozstrzygnęła:

— Niech-ta pan rój zabiera. My nie pomrzemy od tego. Pan się nie wzbogaj...

Nie zaorane między

Patrzeć na Uśniaka, jak biczyskiem strąca pobliskie kwiaty polne i kłosa, co ciękawie wychyliły się kudrowie. Konie włoką się powoli, tną je gzy (to na deszcz — myślę), piach drobny jak mąka brudno — żółta struga ośpytuje się z piastów kł. Kim właściwie jest Uśniak, medytuje. Oficjalnie ze swymi 8 czy 9 ha uchodzi za średniaka, skądinąd jednak wiem, że ma kawał lasu, a i tych hektarów jest znacznie więcej, ale ukryte. Nie bez tego, żeby o tym nie wiedział sołtys, ale oni tu wszyscy: sołtys, gajowy i gospodarze na zawieruszonej pod lasem odnodze wsi tworzą jedną zgranną „sitiwę“. Gdyby było inaczej, to czyż mogliby pობудować się tak dostojnie po wojnie? Czy gajowego przez jego skąpm uposażeniu stać byłoby na dostojne życie, wychowywanie kupy dzieci i na stawianie przed gościem litra albo i dwóch wódki?

Czy aby wódki? Po przecięciu nie dalej jak wczoraj u Uśniaków zgadło się przy wieczery właśnie o tym, że wódka nie schodzi ze sto-

łu przy żadnym posiłku, a Uśniak na to z tym swoim szelmowskim pół-uśmieszkiem, że nie jest to eks-pens znów tak wielki, trzeba tylko wiedzieć, jak się urządzać...

— Bimber? — spytał. — To teraz rzecz niebezpieczna, kosztowna. — Niebezpieczna była dawniej, jak się pędziło ze zboża, bo to i długo trwało, i po zapachu łatwo było rozpoznać. A teraz robi się z cukru: kilka godzin i już po krzyku... — Uśniakowie spojrzeli po sobie porozumiewawczo. W jej oczach zabłysło coś, jakby przestroga, żeby „stary“ nie wygadywał się zbytnio, toteż Uśniak nie powracał już do tego tematu.

Uzmysłowilem sobie, że właściwie nie widziałem, aby Uśniak kiedykolwiek otwierał przy mnie monopolową butelkę. Zjawiała się ona jako nieoczekiwane w rękach Uśniakowej, która wódkę przyprowadzała młodemu lub owocowym sokiem. Czystej nie piliśmy nigdy... Równa obfitość panowała z mięsem i o-krasą. U Uśniaków mięsniwa nie brakowało nigdy, we wsi kwilił potajemny ubój: czego nie wzięli na miejscu sąsiedzi, to się wywoziło do swoich kumotów i znajomych w Zambrowie.

— W jedności siła — mawiał Uśniak. — My się trzymamy kupy. Jeden drugiemu nogi nie podstawi. I dlatego jako-tako żyjemy.

Kiedy zachodziła mowa o spółdzielni produkcyjnej, Uśniak nie naleył do tych, co gardłowało przeciw. Nie, on albo siedział w kaci-ku, kurząc papierosa i uśmiechając się leciutko, kiedy dyskusja osiągała szczytowe nasilenie, albo — gdy się domyślał, że mogą zapaszać jakieś wiążące decyzje — nie przychodził na zebranie wcale. Zapytywano o zdanie, zbywał natręta dwuznacznym:

— Jak inni — tak i ja. Nie będę pierwszym. Inni większy rozum mają...

Uśniak, który całe życie spędził na wsi i dociągał już 50-ki, chwalił się, ba, za szczególną sobie zasługę poczytywał, że mieszkając od stolicy zaledwie o 70 kilometrów, ani razu nie był jeszcze w Warszawie. Ostrożnie był jak lis, ale poznawszy kogoś bliżej, zwłaszcza po kilku kieliszkach, popuszczał wodzy swoim myślom, dawał wyraz swoim prawdziwym uczuciom. Tak i teraz, kiedy mu jeszcze nie wywie-trzała wódka, którą sówicie zakrapialiśmy śledzią w zambrowskiej Gospodzie Ludowej, snuł rozważania na temat wspaniałe przebudowywanej szosy między Zambrowem a Ostrowią Mazowiecką:

— Na co to komu — gadał, pogardliwie zacinając beton nawierzchni batem — a bo to stara była zła? Też asfalt był nielichy... Przydrożne drzewa powycinali, bo im się rozszerzały szos (u niego był „ten szos“) zachciało... Tyli grosz kosztuje... Pewnie ciężkie miliony...

Chwilę milczał, mnie zaś nie chciało się otwierać gęby. Ale Uśniak, choć wstawiony, zreflektował się jednak. Przemogło chłopskie poczucie realizmu:

— No, gospodarze przy tej budowie zarobią walnie... — po chwili namysłu uzupełnił swą myśl: — Ci, co mają konie (wiedziałem już, że do Uśniakowej kabzy niejednym tysiącem wpłynął)... A największa wygoda jest z tym cementem.

— Z jakim cementem? — spytałem naивно. — O ile wiem, to w GS są trudności z nabyciem. Spojrzał na mnie pobłażliwie: — Toteż ja nie o cementie z GS-u mówię, tylko o tym, co to go ze składu „na lewo“ kupić można. Choć jak przylapia — dodał z żalem — to jak nie kilka lat dostać można...

Urwał, bo właśnie przejeżdżałimy przerzucony przez szosę tor kolejowy. To mu nasunęło inną myśl:

— Nasyp to jeszcze Niemiec sypać kazał. Potem jak Sowiety przyszły — roboty stanęły. A teraz układają tory i już kilka razy zapowiadali uruchomienie komunikacji towarowej — i jakoś nic.

— Jak zapowiadali, to uruchomili. Widocznie coś im stanęło na przeszkodzie.

— E, z tą koleją, to tak jak z tym kombinatem włókienniczym. Już kiedyś w gazecie pisali, że budują, budują — a tu wszystko w lesie...

Przypomniałem sobie reportaży w jednym z pism stołecznych, zamieszczony 12 lutego 1952 roku, gdzie m. in. „stojąco“ — jak powiada Zenon — „za dwa tygodnie połączenie kolejowe zwiąże Zambrow z krajem...“ i że „długi rząd białe — czerwonych lat mierzniczych, malejących ku horyzontowi, jak słupy telegraficzne, wycyca obszar przyszłej hali produkcyjnej...“ Ze „na wysokości drugiego pietra bloków, jak na Muranowie, czterech murarzy wywijają kiel-niami...“ W samej rzeczy, w lutym 1952, niesumienny dziennikarz wysłał to sobie z palca, wyprowadzając o jakichś półtora roku rzeczywistość, która z pewnością dogoni i wypierzełi jego bzdurną relację, podrywającą tylko zaufanie świadomych istotnego stanu rzeczy chłopów pod-zambrowskich. Kiedy pojechałem teraz z Uśniakiem, na gotowych już fundamentach przyszłej hali przedziałni, kończono montaż trzech potężnych kombinatów betonarskich, obiecując sobie wykona-

nie w ciągu dni stu konstrukcji wielkiej hali. Na terenie budowy piętrzyły się stosy skrzyni z rosyjskimi napisami — to ZSRR nadsyłał nam wyposażenie techniczne kombinatu, którego zadaniem jest lepsze, pełniejsze zaopatrzenie naszych potrzeb w tkaniny.

— No tak — mrucał niewyraźnie Uśniak, pomachując dla dodania sobie rezonu batem — teraz to się ruszyło, teraz to widać, ale czemu pisał o tym...

— Jako o faktach dokonanych — wpadłem mu w pół słowa.

— ...Półtora roku temu?

— Wzruszył ramionami. Papier jest ciemny.

— Czy wysyłacie Zenona na przeszkolenie w fabrykach bawełnianych?

Uśniak od razu spochmurniał i jakby wytrzeszczył:

— A kto będzie na gospodarce pracował?

— No, jeżeli w waszej wsi powstanie spółdzielnia produkcyjna, to ten szkopol odpada.

— Nim słońce wejdzie — rosa czy wyje.

Po tych słowach odwrócił się ode mnie niechętnie i aż do powrotu do domu nie przemówił ani słowa.

Podczas gdy Uśniak wypręgał i poił konie, ja wszedłem do kuchni, gdzie zastałem wdowę po Piotrze Osicy i zwiastunkę śmierci Rozalii, Marysie, która bawiła się z ósmioletnią córką Uśniaków, Janinką.

Matka odzobila jej warokocze wielką różową kokardą i takąż kokardę miało zawiązane na szyi małe, białe jagniętko, biegnące po izbie. Jego drobne kopytka wystukiwały zabawną werbel na dylach podłogi. Jagnię od czasu do czasu zalcie nie beczalo, budząc tym nieopanowany śmiech obu dziewczynek. Zenon przy oknie łowił ostatnie blaszki gasnącego dnia, czytając jedno z przywiezionych przeze mnie pism.

Uśniakowa i Osycyna traktowały żarliwie i umilkły na mój widok.

Usiadłem w przeciwnym kącie izby i poczułem raptem swoją tu obcość. I cóż z tego, że mnie tu honorują, fetują, kiedy — w gruncie rzeczy — mam tak mało z nimi wspólnego? Chyba jeszcze z tym wyrostkiem, w którym wyczuwałem tajony opór wobec srodowiska, w którym wyrósł i z którego, jak się zdaje, wyroził się. Mówię mu po imieniu, bo znam go od dziecka. I teraz, korzystając z tego, że kobiety szepem podjęły rozmowę, daję Zenonowi znak, by się zbliżył i pytam:

— No i co zamierzasz teraz robić? Czy mówileś z ojcem?

Macha ręką niechętnie i rumianą jego twarz wykrzywia gniewny grymas: — At, a bo to raz? Co to pomoże? Ojciec powiada, że nam nie pobrak chleba u obcych szukać. Wystarczy nam swojego. Ale ja i tak pójdę!

Do kuchni wchodzi Mazak. Wiem o nim, że lubi zaglądać do kieliszka, że ma liczną rodzinę, że dwie morgi piachu i, oczywiście, klepie biedę. Uśniak mówił o nim, że wokół niego, Osicynej i Szalborskich krystalizuje się komitet założyciel-

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

Milknie. Kobiety umilkły również i słuchają w napięciu. Wreszcie Uśniakowa:

— Tutaj mówili, że jak powstanie spółdzielnia, to chaty będą rozbierać i stawiać wszystkie w kupie. A nasza już stara. Stoi, póki jest na miejscu. Rozsyłałaby się, gdyby ją chciał przestawić.

— To jest kwestia dalekiej przyszłości. Ale przynajmniej sami, że przez trzy lata gadaliśmy na temat dziurawego dachu w waszej chałupie. Jeszcze wtedy o spółdzielni

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

ski przyszłej spółdzielni. Na razie jednak Mazak zjawia się tu w charakterze petenta. Nogi ma bosc, czarne i spękane, wokół nóg telepią się wyszargane, przetarte cągowe spodnie, piersi przykryte samodzielną koszulą... Przynała go tu potrzeba. Musi na jutro mieć koniecznie konia...

Uśniakowa przerywa mu: — Jednego nie możemy dać, bo nie są nawyczne w pojedynkę chodzić!

Mazak przestępuje z nogi na nogę. Ba, on by nic nie miał przeciwko parze, ale to przecież będzie drożej kosztowało...

— Nie musicie pieniędzmi płacić — śmieje się szeroko Uśniakowa.

— Przyjdziecie wy, albo wasza baba w żniwa, odrobicie.

Mazak stoi jeszcze czas jakiś, bo tak nakazuje grzeczność, i wreszcie wychodzi, upewniając się co do godziny, kiedy ma się zgłosić po konie.

Niebawem wraca ze stajni Uśniak. Nie wiem czy dlatego, że dostrzegł w ręku Zenona gazetę, czy że rzeczwiście pora, dość że wysła syna do wieczornego obrządku. Zenon bez słowa, spojrzawszy tylko na mnie znacząco, wychodzi wciskając czapkę na czoło. Uśniak stoi opodal mnie i wydaje mi się, że powinienem coś przedsięwziąć.

I nagle opanowuje mnie chęć powiedzenia czegoś zaczepnego, czegoś, co by poruszyło tego grubo ciosanego człowieka:

— Cemu nie znieściecie stojącego przed chałupą uschniętego drzewa? Przecież obejście nie zdołi?

— Ono mi nie przeszkadza, a o pału mi nie brak.

— A czemu nie wymienicie obalonego płotu wokół ogrodu? Przecież, na upartego, to mogliby wam i ule wynieść, i owoce pobrywać.

— U nas tu każdy swój sad ma i do sąsiadów nie pobrak mu łązić — odpowiada z niezmąconym spokojem.

— Cemu nie wymienicie zmurszałej podwaliny w chałupie?

— Po co? I tak mi ją zabiorą.

— Kto wam zabierze?

— Jak tu zrobić kołchoz.

— Mylicie się, bo członkowie spółdzielni produkcyjnej zatrzymują nie tylko swoje domostwa, ale nawet działki przyzgodowe wielkości do 70 arów.

— O — przeciąga Uśniak i nie wiem, czy mówi teraz na serio, czy kpił ze mnie w żywe oczy — to nawet niegorszy kawalek gruntu...

Przymierzając oczyma do swego istotnie wielkiego podwórza:

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

— Można by warzyw posadzić i kartofli...

mowy nie było. Dopiero jak wam z pulapu na głowę lać się zaczęło, to dach naprawiliście.

— A no, tak było — zgodził się Uśniak pogodnie.

— U nas kobiety mówią, że w spółdzielni jest wspólna kuchnia. A my tego nie chcemy. Chcemy jeść to, na co nas stać, na co mamy ochotę. Nie każda też potrafi gotować — przy tych słowach Uśniakowa spojrzała zwycięsko na wdowę: tum cie dobiła!

Osycyna powiedziała nieśmiało:

— Na zebraniu w gromadzie wszystko to wyjaśniali. Ostrzegali, żeby nie wierzyć wrogiej, kułackiej propagandzie...

— To wedle was ja kułacka? — zawołała Uśniakowa groźnie.

— O was nie mówię... Wam co: spółdzielnia niepotrzebna.

PIW 1953		
Z PRAC SESJI NAUKOWEJ ODRODZENIA POLSKIEJ AKADEMII NAUK		
ZYGMUNT MODZELEWSKI		
TŁO SPOŁECZNE ROZWOJU NAUK POLSKICH W DOBIE ODRODZENIA		zł 1,20
str. 43	◆	
STANISŁAW ARNOLD		
PODŁOŻE GOSPODARczo-SPOŁECZNE POLSKIEGO ODRODZENIA		zł 2,—
str. 73	◆	
BOHDAN SUCHODOLSKI		
POLSKA MYŚL PEDAGOGICZNA W OKRESIE ODRODZENIA		zł 5,50
str. 106	◆	
ZOFIA LISSA I JOZEF CHOMIŃSKI		
MUZYKA POLSKIEGO ODRODZENIA		zł 8,—
str. 120	◆	
KAZIMIERZ BUDZYK		
PRZEŁOM RENESANSOWY W LITERATURZE POLSKIEJ		zł 6,—
str. 232	◆	
ZENON KLEMENSIEWICZ		
O RÓŻNYCH ODMIANACH POLSZCZYZNY		zł 2,50
str. 96	◆	
KAZIMIERZ LEPSZY		
ANDRZEJ FRYCZ MODRZEWSKI		zł 3,60
str. 144	◆	
JULIAN KRZYŻANOWSKI		
POLTA ŻYWY		
Rzecz o Janie Kochanowskim		zł 2,—
str. 41	◆	
STANISŁAW ROMAN INGARDEN		
MIKOŁAJ KOPERNIK		
I ZAGADNIENIE OBIEKTYWNOŚCI PRAW NAUKOWYCH		zł 2,—
str. 83		K 17209 1
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY		

JERZY ZIOMEK

Po Zjeździe Odrodzenia

Czterdzieści sześć referatów, kilkudziesięciu referentów, dziesiątki posiedzeń przygotowawczych i roboczych dyskusji, sześć dni obrad w pięciu sekcjach — oto statystyczny obraz wysiłku, z którego zrodził się Zjazd Odrodzenia Polskiego, przygotowany przez Polską Akademię Nauk, obradujący w Warszawie w dniach 25—30 października 1953 r.

Ale żadne liczby nie są w stanie oddać istotnego i przełomowego znaczenia Zjazdu, który zainicjował kompleksowe badania marksistowskie nad renesansem w Polsce. Można bez przesady powiedzieć, że zjazdu tej miary nie miała dotychczas polska humanistyka. Jeszcze nigdy nie zeszli się badacze wszystkich pokrewnych dyscyplin, by w ciągu mierzalnych miesięcy prac przygotowawczych i w trakcie obrad wspólnie rozstrzygać wspólne problemy. Możliwość takiej współpracy stworzyła dopiero socjalistyczna zasada planowania, zespolowości i kompleksowości badań naukowych.

Zjazd wysłuchał i przedyskutował 9 referatów plenarnych z różnych dziedzin humanistyki i trzydziestu kilku referatów sekcyjnych z zakresu: historii, historii nauki, języka, literatury, sztuki. Na pierwszym posiedzeniu plenarnym to społeczne rozwoju nauki w Polsce okresu Odrodzenia scharakteryzował Z. Modzelewski, o podstawach gospodarczo-społecznych Odrodzenia mówił S. Arnold, o muzyce polskiego Odrodzenia: Zofia Lissa i J. Chomiński. Trzej najwybitniejsi twórcy polskiego renesansu: Kopernik, Modrzewski i Kochanowski byli tematem rozważań w trzech kolejnych referatach: R. S. Ingardena, K. Lepszego i J. Krzyżanowskiego. Na temat ideowych wartości literatury polskiego Odrodzenia wygłosił referat K. Budzyk.

Zasada kompleksowości nie prześlata obowiązywać w momencie podziału na sekcje. Zależnie od problematyki sekcje podejmowały wspólne obrady. Tak np. historycy literatury dyskutowali wspólnie z historykami języka nad referatem S. Rosponda o języku Kochanowskiego i nad referatem M. R. Mayenowej o problematyce stylistycznej staropolszczyzny, a z historykami sztuki dyskutowali o popularnym dramacie i teatrze polskiego Odrodzenia (referat J. Lewańskiego). Korzyści wynikające z tego rodzaju współpracy historyków bazy i historyków różnych dziedzin nadbudowy stały się oczywiście dla przedstawicieli wszystkich dyscyplin. Tak na przykład historykowi literatury współpracowali z historykami bazy, historykami sztuki, języka, nauki pozwoliła lepiej i głębiej dotrzeć i opisać prawidłowość rozwoju kultury renesansu polskiego.

Do niedawna poloniści narzekali, że w pracach z zakresu historii literatury muszą nader często wyreczać historyków i rozwiązywać na własną rękę niezbędne dla literaturoznawcy problemy gospodarcze, społeczne i polityczne. Zjazd Odrodzenia zwolnił niejako historyka literatury z obowiązku przekraczania jego kompetencji. Referat St. Arnolda sformułował jasno tezę o prekapitałistycznym charakterze polskiego Odrodzenia, opisał proces tworzenia się folwarku opartego o najem wolny i przymusowy, omówił rolę gospodarki towarowo-pieniężnej stwarzającej warunki dla powstania kapitalizmu i dążenie do utworzenia rynku towarowego oraz scharakteryzował drogi regresu od postępowych form gospodarki.

IIJA ERENBURG

O pracy pisarza

VII

Wrażliwa natura, zainteresowanie i miłość dla człowieka są właściwościami pisarza, ale nawiązując do bytów spodziewać się, że każdego człowieka zdolny on jest zrozumieć. Wszyscy ludzie, wśród nich także pisarze, dochodzą do pojmowania cudzych przeżyć wychodząc z doświadczeń własnych. Obecnie pisarzowie uczucia, nie mające nic wspólnego z jego duchową strukturą uchodzą, naturalnie, jego uwagi. Jeżeli mimo to chce się on opisać, to musi przypominać sobie cudze książki i zadawać się logicznymi przypuszczeniami. Takie książki albo takie stronicie w książkach odznaczają się chłodem, brakiem wyrazistości.

Wbrew rozpowszechnionym na Zachodzie mniemaniom pisarz nie może być jedynie widzem ludzkich komedii i dramatów, musi być koniecznie ich uczestnikiem. Początek pracy nad pierwszym rozdziałem powieści poprzedzony jest nie tylko przez miesiące albo i lata przygotowań — przez notatki, pierwsze plany, — lecz także przez lata intensywnego życia, przez radości i troski autora, jego wzloty i upadki, przez jego stosunki wzajemne z innymi ludźmi.

Mówiąc to, nie chce, oczywiście, powiedzieć, że pisarz pokazuje w powieści albo w opowiadaniu wyłącznie to, co jemu samemu się przydarzyło. Przeciwnie, autor zwykle zmienia nie tylko to co sam przeżył, lecz i to, co zaobserwował. Zawsze jednak opisyje on ludzi, których myśli i uczucia są dla niego zrozumiałe; gdzie kończy się ta zasada, tam kończy się literatura. Po to zaś, by zrozumieć przeżycia bohaterów autor sam musi przeżyć coś, co otwiera mu drogę do cudzego serca.

Pierwszą wojnę światową pokazali ci pisarze Zachodu, którzy poznali ją nie w swoich gabinetach, lecz wśród błota i krwi okopów. Barbusses, Remarque, Renn, Dorgeles, Hemingway, Aldington. W ich książkach — bolesnych i dramatycznych — słychać było głos sumienia narodów oburzonych bezmyślną rzezią. Druga wojna światowa, moim zdaniem, najpełniej jest ukazana w utworach takich pisarzy radzieckich — Niekrasowa, Kazakiewicz, Bekas, Smolnowa, Grossmana, Panowej — którzy byli uczestnikami wojny.

„Wojna i pokój” to powieść historyczna a Lew Tolstoj opisał w niej wypadki, które zaszły przed jego urodzeniem, studiował je w archiwach. Lecz jeśli można znaleźć dane o dawnych bitwach, to ni-

Ale niezależnie od tego podstawowego, oczywistego dla każdego marksisty znaczenia wyników badań historycznych, wspólne dyskusje dawały nieraz niespodziewane rozstrzygnięcia problemów szczegółowych. Tak np. toczona od dłuższego czasu dyskusja na temat pochodzenia polskiego języka literackiego (spór między zwolennikami tezy wielkopolskiej i małopolskiej) otrzymała od historyków nowe argumenty nieposłedniego znaczenia. Już wcześniej wiadomo było, że rozstrzygnięcie tego sporu wyłącznie na gruncie argumentów językowych będzie niemożliwe — teraz badania i dyskusje historyków, w wyniku których wydobły rolę i znaczenie miast i mieszczaństwa wielkopolskiego w wieku XV, przeważały szalę na rzecz zwolenników tezy o wielkopolskim pochodzeniu polskiego języka literackiego.

Ambicją Zjazdu było stworzenie marksistowskiej interpretacji okresu, o którym mówił Engels, że „był to największy postępowy przewrót, jaki ludzkość do owych czasów kiedykolwiek przeżyła”. Należy się jednak zastrzec, że Zjazd nie dał i nie mógł dać syntez epoki i nie był podsumowaniem dotychczasowych osiągnięć, lecz właśnie początkiem szeroko zakrojonych, planowych i zespolonych badań nad kulturą staropolską. Merytorycznie Sesja miała więc charakter pionierski w dużej mierze, pod względem zaś metodologicznym była kontynuacją i rozwinięciem przełomu marksistowskiego, który w polskiej humanistyce nastąpił wcześniej, w pierwszych już latach władzy ludowej. Mieliśmy na Zjeździe niejednokrotnie śmiałe próby nowatorstwa metodologicznego, nowatorstwa polegającego na ideowej interpretacji zjawisk artystycznych. Tak zatem referat Lissy i Chomińskiego o muzyce pokazał jak w formach muzycznych przejawiała się walka o narodową, świecką i humanistyczną kulturę. Plenarny referat Budzyka był dowodem przewyższenia wulgarne socjologizmu w badaniach literackich. Referat Budzyka dał przykład szczegółowej, precyzyjnej analizy weryfikacji, pokazał, w jaki sposób zmiany światopoglądowe odbijały się w języku, stylu, tropie i weryfikacji pisarza, jak ideologia, zainteresowanie odciskającym światem i świeckimi przeżyciami człowieka, napór konkretnych obrazów i mowa potoczna kształtują nowe środki wyrazu i przewyższają tradycje literatury średniowiecznej. Badania Budzyka miały z natury rzeczy charakter nieco fragmentaryczny — typ tych badań wymaga bowiem długich i żmudnych prac przygotowawczych. Podobnie referat Mayenowej o problematyce stylistycznej staropolszczyzny, który podjął próbę opisu i interpretacji szeregu konwencji stylistycznych na przełomie od średniowiecza do renesansu, był pierwszym rekonesansem w materiale, w którym dotychczas nie przeprowadzono nawet wstępnej i orientacyjnej systematyki. Sądzimy, że to nowatorstwo obu referatów prowadzi do udoskonalenia i wyostrenia narzędzi badawczych, pozwoli niebawem rozwiązać kapitalne zagadnienie realizmu w polskiej literaturze renesansowej, zagadnienie, bez którego nie można sobie wyobrazić przy-

szłej syntezy tej epoki, a które zostało na Zjeździe postawione, lecz do końca nie rozstrzygnięte.

Referaty wygłoszone na posiedzeniach sekcji historii literatury miały nieco odmienny charakter. Zmierzały do ujęcia całokształtu zagadnienia związanego z poszczególnymi gatunkami literackimi. Były to referaty o prozie renesansowej (J. Krzyżanowski), o poezji polskiej (J. Ziomek przy współpracy zespołu), o poezji łacińskiej w Polsce w epoce renesansu (B. Nadolski i zespół), o popularnym teatrze i dramacie polskiego Odrodzenia (J. Lewański i zespół Państwowego Instytutu Sztuki) oraz o drukarstwie polskim w dobie renesansu (A. Gryczowa). Wspólnym hasłem wszystkich referatów została naszkicowana orientacyjna periodyzacja renesansu w Polsce, obejmująca następujące okresy: okres schyłku średniowiecza i przygotowania przełomu renesansowego (od poł. wieku XV do r. 1513), okres początków renesansu (do 1543), okres najpełniejszego rozwoju literatury renesansowej (do lat osiemdziesiątych XVI stulecia) i okres schyłku (do lat dwudziestych wieku XVII). Poszczególne referaty sekcyjne i dyskusje dały propozycje interpretacyjne dotyczące najwybitniejszych twórców epoki: Biernata z Lublina, Kallimacha, Janickiego, Bielskiego, Kochanowskiego, Klonowica i omówiły takie zagadnienia, jak: komedia rybałtowska wieku XVII (ref. Lewańskiego), proza powieściowa i publicystyka (ref. Krzyżanowskiego). Referat Gryczowej odkrył rewelacyjne wprost materiały do dziejów drukarstwa i pośrednio

czytelnictwa w Polsce, dowodzące ogromnej aktywności wydawniczej polskich oficyn i pogłębienia kultury umysłowej w Polsce wieku XVI. W referacie J. Krzyżanowskiego zostało postawione w interesujący sposób zagadnienie stosunku języka polskiego do łaciny średniowiecznej i humanistycznej: walka łaciny humanistycznej ze średniowieczną w początkowym okresie i polszczyzny z łaciną w ogóle w okresie późniejszym.

Wszystkie referaty zdążyły do pokazania nowego, narodowego, laickiego i realistycznego charakteru literatury renesansowej walczącej z kosmopolityzmem i idealizmem kultury kościelnej; wszędzie mocno podkreślano były elementy plebejskie i antyfeudalne polskiego renesansu. W dyskusjach wystąpiła bardzo wyraziście sprawa dwu kultur średniowiecza (kwestia stosunku nurtu laickiego i plebejskiego do nurtu oficjalnego feudalno - kościelnego), oraz związku kultury renesansowej z postępową tradycją wieków średnich. Rozwiązaniem została ostatecznie fikcyjna problematyka baroku jako epoki o równorzędnej wobec renesansu wartości. Zagadnienie baroku jako stylu zostało postawione na tle ewolucji renesansu i jego schyłku oraz degeneracji związanej ze zwycięstwem reakcyjnego kościoła politycznego.

Tu jasno wystąpiło powiązanie roli badań historyczno-literackich ze współczesną kulturą. W okresie dwudziestolecia wyodrębniano barok, ukazywano jego „nowe piękno”, absolutyzowano poetykę barokową na użytek schyłkowej, antyrealistycznej literatury okresu im-

Żywa nauka

spolitej” w przekładzie F. Jędrkiewicza oraz w języku łacińskim: *Commentarium De Republica emendanda, libri quinque*, wyd. K. Kumaniecki, i fotofiszetowe (2-e) wydanie przekładu Cypriana Bazylaka z roku 1577.

Jana Kochanowskiego *Dzieła Polskie* ukazały się w trzech tomach. Popularne wydanie zbiorowe przygotowane przez J. Krzyżanowskiego, zawierające utwory polskie poety, poprzedzone jest wstępem, zaopatrzone w przypisy, komentarz rzeczowy, słownik wyrazów, historyczny i mitologiczny oraz ozdobione ilustracjami. Nadto dostaliśmy off-setowe wydanie *Pieśni Jana Kochanowskiego księgi dwie...* z roku 1586 (w Krakowie, z drukarni Łazarzowej).

Prócz tych publikacji spełniających wymogi nauki i marzenia bibliofilów, przybyły na półki biblioteczne wydawnictwa Reyowskie.

Z opracowań treści naukowej wyszła drukiem *Seria prac przygotowawczych Sesji Odrodzenia*, w tym St. Arnolda, o podłożu gospodarczo-społecznym wieku Odrodzenia, Z. Modzelewskiego, o tle społecznym nauki polskiej w dobie Odrodzenia, R. S. Ingardena o Koperniku, K. Lepszego o Modrzewskim, prace J. Krzyżanowskiego i J. Ziomek o Kochanowskim, K. Budzyka o przełomie renesansowym w literaturze polskiej, K. Kumanieckiego o Kallimachu, Z. Kle-

perializmu. Sesja Odrodzenia ukazała renesans jako pierwszy przed oświeceniem i romantyzmem element narodowej tradycji literackiej, która służy współczesnej literaturze socjalistycznej.

Świadomość tych osiągnięć nie może jednak przesłaniać braków Sesji. I nie przesłoniła zresztą — już bowiem dyskusje i podsumowania obrad obok słów uznania wypowiedziały słowa krytyki. Poszczególne sekcje, które tak wiele skorzystały ze wzajemnej współpracy, wysuwały pod adresem sąsiadujących dyscyplin nowe zadanie i postulaty.

W trakcie przygotowań Sesji zagubiona została kwe.tia reformacji — w tym zakresie Sesja nie wyszła właściwie poza dotychczasowy stan badań. Nie została przeprowadzona interpretacja ukrytego pod maską sporów dogmatycznych ideowego, światopoglądowego oblicza poszczególnych sekt i szermierzy reformacyjnych. Brakło wśród referentów (niestety i wśród dyskutantów) historyków filozofii, bez pomocy których niejednokrotnie bezradny stał badacz literatury, sztuki, myśli społecznej. Przebieg obrad w sekcji literatury dowiódł, że bez szerszej pomocy ze strony historii politycznej tego okresu nie da się wyjaśnić szeregu węzłowych zagadnień historyczno - literackich. A przecież właśnie interpretacja literatury renesansu, która wyrosła z politycznych konfliktów epoki i aktywnie uczestniczyła w walkach politycznych, nie może się obejść bez jasnego rozeznania w kwestiach politycznych wieków XV, XVI i XVII. Tymczasem nie zostały wyjaśnione, choć wywołały

mensiewicza o odmianach współczesnej polszczyzny, Z. Lissy i J. Chomińskiego o muzyce, W. Suchodolskiego o myśli pedagogicznej.

Prócz pracy J. Tazbira, o problemie chłopskim w dobie Reformacji i K. Budzyka o renesansie w Polsce — trzeba by uwzględnić również wydawnictwa tekstów źródłowych dotyczące husytyzmu (R. Heck i E. Maleczyńska) oraz pozytywne poświęcone sztuce.

Co otrzymali odbiorca w szerokim znaczeniu tego słowa? Nauczyciel, student, uczeń, pracownik oświatowy, społecznik, czytelnik interesujący się książką?

Otrzymał dzieła ukazujące prawdę o polskim Odrodzeniu. Są to pierwsze rezultaty żywej nauki wraz z wiążącą zapowiedzią dalszych wyników badań nad okresem Odrodzenia. Rocznicą powinna bowiem stanowić punkt wyjścia naszych uczonych dla przyszłych wysiłków badawczych.

Te dokumenty, które już otrzymaliśmy, księgi, które już zapelniają spór półkę biblioteczną, dowody sztuki drukarskiej i pracy edytorskiej Państwowego Wydawnictwa Naukowego, Państwowego Instytutu Wydawniczego, Zakładu im. Ossolińskich — odbiorca w Polsce przyswoi sobie i zapisze ich zasługę trzeźwo i sprawiedliwie na poczet Polski Ludowej.

J. S.

Jerzy Ziomek

gdzie nie znajdzie relacji o przeżyciach żołnierzy albo oficerów. Toż był uczestnikiem obrony Sewastopola. Oczywiście, wojna krymska niepodobna była do Wojny Narodowej i pisarz nie mógł przenieść mechanicznie swoich przeżyć i obserwacji na karty powieści, ale uczestnictwo w obronie Sewastopola pomogło Tolstojowi zrozumieć bohaterów „Wojny i pokoju”. Człowiekiem, który nigdy nie był na wojnie trudno pojąć co przeżywa jej uczestnik, jak przeżywa on strach, jak układa się życie w ciągłym poczuciu sąsiedztwa śmierci, jak krzepnie przyjaźń, jak ludzie stają się równocześnie bardziej zroszczy i bardziej wrażliwi. Aby opisać bohaterów trzeba mieć klucze do ich serc i sprzeczliwość pisarza nazwać można zdolnością do współprzeżywania.

Nieraz widzieliśmy, jak po wydaniu pierwszej książki barwnej i pełnej talentu gąsła przedwcześnie gwiazda niektórych młodych autorów; czasem druga książka już się nie zjawiała, czasem pojawiała się i druga i trzecia, ale przynosiły one czytelnikowi rozczarowanie. Tragedia taka związana jest zwykle z biografią autora. Młodzieńcze biorący w życiu czynny udział, inżynier bądź geolog, robotnik albo student — coś tam przeżył, coś tam zobaczył; mając talent wykorzystał swoje doświadczenie w książce, książka zaś przyniosła mu sukces. Został zawodowym literatem i porzucił to, co dotąd stanowiło jego życie. Skończył się dopływ nie tylko żywych obserwacji, ale i przeżyć. Druga i trzecia książka nie udało mu się dlatego, że były napisane nie na podstawie doświadczenia, a przy pomocy domysłów, literackich reminiscencji, gotowych schematów.

Przypominajmy sobie, jak kręte i zawile były drogi wielu dawnych pisarzy, przypominajmy sobie tulaczkę po urzędach Sałtykowa - Szchedrina, katorgę Dostojewskiego, „uniwersytety” Gorkiego, zesłanie „szewca i malarza” Korolenki. Każdy z tych pisarzy przyszedł do literatury z bogactwem duchowym, którego starczyłoby na dziesiątki książek. Dickens — nim napisał „Dawida Copperfielda”, „Olivera Twiasta”, „Malańkę Dorrit” — przeżył gorzkie dzieciństwo, poznał nędzę; jako chłopiec pracował w fabryce szuwaku. Balzac miał posadę w kantorze reagenta, parał się nieszcześliwie drobnymi transakcjami i sam na sobie doświadczył tych namietności francuskiego bourgeois, które później opisał.

W świecie kapitalistycznym niezwykle trudno jest żyć z pracy literackiej. Wielu znanych pisarzy Europy Zachodniej, a zwłaszcza Ameryki, nim zostało zawodowymi literatami, było robotnikami, marynarzami, listonoszami, tragarzami, wędrownymi fotografami, fryzjerami, poszukiwaczami złota. Poznali oni mnóstwo ludzi, zresztą sami przeżyli; nie mało; pomogło im to stworzyć powieści, w których pokaza-

ne są ciemne strony społeczeństwa kapitalistycznego. Fiedin napisał „Miasta i lata” dlatego, że w czasie pierwszej wojny światowej był w niemieckiej niewoli. Dwie ostatnie powieści tego pisarza ściśle są związane z jego młodymi latami. Fadiejew — przed napisaniem „Kłeski” — był partyzantem na Dalekim Wschodzie. Wskłócił Iwanow w opowiadaniach o wojnie domowej dał to, co sam przeżył. W trylogii Aleksieja Tolstoj jest wiele z autobiografii. Poza jego powieści „Samotny biały żagiel” polega na artystycznym wskrzeszeniu przez autora jego lat dziecinnych. Początek powieści „Szczęście” przyszedł Pawłowie nielato: przeżył te dzieje sam przed ich opisaniem.

Cechy szczególne współprzeżywania, a zatem i dobór bohaterów łatwo zrozumieć, jeśli zastanowić się nad losem wydrukowanej powieści. Każdy pisarz ma swoich ulubionych bohaterów. Wybucha często gorące spory w związku z tym, że ludzie rozmaicie oceniają zachowanie się bohaterów tej czy innej powieści. Mówię tu nie o różnicach w ocenie ideowej, lecz o stosunku do samej postaci bohatera. Kiedy ukazała się powieść Stendhala „Czerwone i czarne” byli wśród czytelników tacy, którzy widzieli w Julianie Sorelu czystego i wzniosłego romantyka, inni nazwali go karierowiczem, nikczemnym pyszałkiem, oschłym typem. Pamiętamy niedawne dyskusje o książce Panowej „Krużyłcha”; czytelnicy rozmaicie oceniali charakter i czynu Listopada. Pozwól sobie dodać, że bohater mojej powieści „Burza” Siergiej Wlachow wydawał się jednym czytelnikom postacią godną naśladowania, innym zaś — istotą o słabej woli i egoistycznej.

Lektura — jest to proces twórczy; czytając powieść czytelnik dokonuje pracy pokrewnej pracy pisarza; to co jest w tekście dopełnia z pomocą wyobraźni. Opiera się przy tym, rzecz jasna, na własnym doświadczeniu życiowym. Czytelnicy w różny sposób patrzą na bohaterów jednej i tej samej powieści: udział fantazji czytelnika sprawia, że postacie te stają się barwniejsze, albo wyblakłe, uwzniośnione, albo spopolitowane. Będąc często obecny na konferencjach czytelnicy, na których dysputowano o moich powieściach, mimo woli myślałem nie tylko o moich literackich omyłkach, lecz także o różnorodności charakterów ludzkich. Czytelnik znajduje drogę do serca jednego bohatera, obok innego zaś przechodzi obojętnie. Coś podobnego zdarza się także z pisarzami: dostrzegają oni jedno, pomijają zaś co innego — nie przez zapomnienie, nie z lenistwa, lecz na skutek szczególnych cech swojej natury, swojej drogi życiowej. Każdy pisarz ma dostęp do serc jednych ludzi, nie rozumie zaś albo źle rozumie innych. Każdy pisarz ma klucze do serc, jeden ma ich więcej, inny

różnice zdań, takie sprawy jak: stosunek literatury do sejmów egzekucyjnych, program egzekucji i program obozu królewskiego, polityka Batorego i Zamoyskiego, polityczna rola Skargi i jezuitów za panowania Zygmunta III itp.

Dwadzieścia i trzy lata temu, na Zjeździe im. Jana Kochanowskiego niektórzy polscy uczeni prześcigali się w wykazywaniu wpływów literatur obcych na polską literaturę epoki renesansu. Na tym samym Zjeździe poloniści — goście zagraniczni — z uznaniem podkreślali rodzimość twórczości Kochanowskiego, rodzimość całej polskiej kultury renesansowej.

Jesteśmy dalecy od kosmopolityzmu części ówczesnej polonistyki i zapewne żaden zagraniczny uczonej nie mógłby nas zawstydzić swym pełnym uznaniem stosunkiem do przeszłości kulturalnej polskiego narodu. Ale właśnie dlatego, że kosmopolityczna „wpływologia” została skompromitowana i przezwyciężona przez współczesną polonistykę, możemy przystąpić do badania związków renesansu polskiego z przełomem renesansowym w Europie, pamiętając o tym, że polscy twórcy korzystali z postępowego dorobku antyku i renesansu nie w czolobitnej pokorze dla obcych powag, lecz z poczuciem godności i świadomości trudnej walki o kulturę narodową.

Tymczasem Sesja w niedostatecznym stopniu uwzględniła współczesność renesansu w Polsce i w Europie: przełom renesansowy w kraju był rozpatrywany w izolacji od przemian kulturalnych we Włoszech, Francji i krajach ościennych. W konsekwencji podstawowe dla badań nad renesansem zagadnienie ludowości było rozpatrywane nie nieco jednostronnie i pozostało — mimo wielu trafnych propozycji — w gruncie rzeczy nie rozwiązane do końca.

I jeszcze jedna uwaga, która się w trakcie obrad musiała nasunąć przede wszystkim poloniście. Uderzał i dziwił poniekąd stosunkowo słaby udział w dyskusjach sekcji literatury i języka młodej kadry naukowej. Liczne zjazdy i konferencje polonistyczne cechował zawsze żywy udział młodego pokolenia historyków literatury. Ich absencja w zjazdowych dyskusjach nie była przypadkowa — była konsekwencją małej atrakcyjności literatury staropolskiej wśród asystentów, aspirantów i studentów. Sytuacja jest niepokojąca, ale czas jeszcze na środki zaradcze. Należy zatroszczyć się o planowy, proporcjonalny do potrzeb dopływ młodej kadry do uniwersyteckich pracowni i seminariów staropolskich. Wydaje się, że w obecnej chwili stworzenie w jednym z prowincjonalnych miast uniwersyteckich ośrodka badawczego, który by kształcił specjalistów w zakresie literatury staropolskiej, mogłoby w dużej mierze tym kadrowym trudnościom zaradzić.

Zjazd nas przekonał o wielkości ludzi renesansu, o odwadze umysłów, które nie daly się powstrzymać od badania prawdy, o śmiałości i patriotyzmie pisarzy, którzy stworzyli trwałe fundamenty pod rozwój świeckiej, narodowej i realistycznej literatury. Trzeba, abyśmy ich wielkość i odwagę oraz piękno stworzonej przez nich literatury w całej rozciągłości pokazali socjalistycznemu narodowi.

ROZSTRZYGNĘCIE KONKURSU



nożyc



Rys. K. Gosiewska

Konkurs „Nożyc” ogłoszony w nr 38 (182) przyniósł bogaty plon. Pierwszą nagrodę przyznano Ob. MARIANOWI WADECKIEMU (Warszawa, ul. Dymalska 10a m. 2). Otrzymał on subskrypcję nowego, pełnego wydania dzieła Juliusza Słowackiego. Nagroda druga — w postaci albumu „Wit Stwos” przypadła Ob. JANINIE DZIDOWNIE (Kraków, ul. Blich 4 m. 12). Wyróżnienia w postaci bonów na cenne wydawnictwa książkowe otrzymali Czytelnicy: Duś Zenon Rajmund (Łabedy, ul. Wolności 44/4 pow. Gliwice), Gorczak Franciszek (Warszawa, ul. Smocza 1 m. 56), Hauffa H. Z. (Wąwelno, pow. Wyrzysk, woj. bydgoskie) Heith Zdzisław (Poznań, ul. Dąbka 10 m. 1), Krzysztof Barbara (Kraków, ul. Jasna 3 m. 3), Mirecki Aleksander (Warszawa, Puławska 34 m. 6), Rokociński H. I. (Gryfice, Rokossowskiego 91), Wasik I. (Szczecin, ul. Krakusa 1 m. 2).

Publikujemy poniżej odpowiedzi nagrodzone.

I bądź tu mądry...

Po przeczytaniu „Początku opowieści” Mariana Brandysa — pragnąc sobie wyrobić należyty sąd o tej książce — śledziłem uważnie recenzje zamieszczone w różnych piśm. Oto rezultat tych studiów krytycznych:

„Początek opowieści” to książka głęboko ludzka, optymistyczna, przepełniona romantyzmem socjalistycznego budownictwa. Brandys nie lakieruje życia, ale przedstawia je w surowej prawdzie i rzeczywistej wielkości. Spokojnie bez głoślowych zachwytów pisarz przedstawia wielkość przemian realizowanych w trudzie, w walce z przyrodą i wrogiem klasowym. Z utajoną dumą mówi o wysiłku setek umysłów i rąk torujących drogę do potężnego miasta i potężnej huty. Przed naszymi oczami pojawia się wiele plastycznych postaci budowniczych Nowej Huty trafnie zróżnicowanych psychologicznie, narysowanych w dialektycznym rozwoju.

(Nowa Kultura 12.8.51)

„Początek opowieści” Mariana Brandysa należy również po trosze do rzędu książek, w których artystycznie — ideowo uogólnienie nie zostało podparte pełnym realizmem w przedstawieniu wydarzeń i postaci. Nie pogłębiona psychologia postaci, występujących w opowieści, pokazanie ich w sposób często uproszczony, „czytankowy”, pociągnięto za sobą również pewne ograniczenie perspektywy spojrzenia na sam problem Nowej Huty, na którą patrzymy tu trochę jak gdyby oczyma młodocianych bohaterów opowieści. Nie ogarniamy całości obrazu potężnej budowy, odczuwamy pewien niedostatek konkretnej wiedzy o wielkim obiekcie naszej Szczęśliwki, ukazane konflikty i sposoby ich rozwiązania są powierzchowne.

(Nowa Kultura — 8.6.52)

Jakże wspaniale przedstawiona została w „Początku opowieści” pomoc ZSRR przy budowie huty, zapal radzieckich inżynierów, przekazujących swe bogate doświadczenie budownictwa Polsce i polskim inżynierom.

(Nowa Kultura — 12.8.52)

Na początku książki Brandys wspomina marginesowo o roli pomocy Związku Radzieckiego. Mimo to na podstawie reportażu czy-

telnik nie zdoła wyrobić sobie nawet odległego pojęcia o olbrzymim znaczeniu bratniej pomocy ZSRR, bez której byłaby nie do pomyślenia budowa giganta przemysłowego, stanowiąca niesłychanie trudny problem nawet dla najwyżej uprzemysłowionego, najbogatszego kraju. Bez naświetlenia roli ZSRR obraz Nowej Huty wyszedł niepełny. Pewne zastrzeżenia budzi zresztą nie tylko zakres lecz i forma tego zagadnienia.

(Trybuna Ludu — 1.3.52)

W książce uwydatniona została rola organizacyjna i wychowawcza partii, która jest „układem nerwowym i krwią, ożywiająca najmniejszą nawet komórkę organizmu” wielkiej budowy. Wśród młodzieży zatrudnionej na budowie polskiego Komsomolska partia rozwija działalność za pośrednictwem swojej transmisji młodzieżowej — ZMP. Na wielu przykładach autor wykazuje, że ilekroć układ nerwowy w jakimkolwiek stopniu zawodzi, w organizmie zaczyna coś szwankować.

(Trybuna Ludu — 1.3.52)

Brakiem książki jest zbyt słabe ukazanie roli i pracy organizacji partyjnej. Jakże ciekawy byłby opis jednego z zebrań partyjnych, czy też dokładny opis narady produkcyjnej, zwołanej z inicjatywy partii. Trzeba było również pokazać pomoc partii w pracy związków zawodowych i ZMP.

(Głos Pracy — 12.10.51)

Nie wierz mężczyźnie...

Otóż — zaufałam „Kobiecie”. Była to oczywiście kobieta w cudzysłowie, czyli pismo „Kobieta i Życie” (nr. 327/255). O nowym polskim filmie, o „Sprawie do załatwienia”, przeczytałam tam wcale pochlebne uwagi:

„A więc wreszcie — druga po „Skarbie” polska komedia weszła na ekrany. Już sam fakt, że nowy polski film jest komedią — przyciąga wielu widzów. Chcemy zobaczyć Adolfa Dymśkę w ośmiu nowych rolach. I chcemy obejrzeć na ekranie naszą rozbudowującą się, piękną stolicę, która w tym filmie gra rolę nie mniej ważną niż aktorzy”.

Pewno, że chcemy. Któż by nie chciał; do tego — ktoś oprze się „Kobiecie”, która w dalszym ciągu wabi:

„Ta komedia, która nas rozśmiesza i skutecznie ośmiesza „utrudniaczy” jest filmem pożytecznym właśnie dlatego, że śmiech potrzebny jest widzom a ośmieszanie — „utrudniaczom”. Na tym polega wartość tego filmu”.

Pobiegłam do kina, wystąpiłam się w ogonku... (W owy. dniu był jeszcze pokazny ogon; film siedł dopiero drugi dzień...). W kinie ludzie trochę plakali, a po wyjściu kłeli. Doprawdy, byłam trochę oszołomiona i przedko zabrałam się do naszej prasy literackiej, szukając recenzji ze „Sprawy do załatwienia”. W „Życiu Literackim” (nr. 37) wyczytałam w artykule Jerzego Płażewskiego:

„Sprawa do załatwienia” jest filmem świetnym we fragmentach (dobre pomysły scenarzystów, Dymśka, Kwiatkowska, muzyka), krótkie odcinki tego filmu mogłyby wejść do złotej antologii komedii filmowej”.

Do złotej antologii? Niechby już była brązowa, a nawet papierowa... Ale co mi z tego, skoro Płażewski jeszcze nie skończył?

„Cały film nie ma po temu, niestety, żadnych szans. Jest bowiem zlepekami świętych, niezłych i nieudanych „atrakcji”, zeszytych grubą nicią nudnej i banalnej sprawy kupna pianina. Nieporozumienia, które sztucznie mają zastrzyć konflikt między bohaterami „sprawy” czternastej, sprawy pianina, są po prostu naiwne”.

Chwalić Boga, bo już myślałam, że to ja jestem naiwna... Pocieszył mnie do reszty i napelił uczuciem mściwej satysfakcji Stanisław Grzelecki, który tak oto pogłębił „Sprawę” w nr. 37 „Przeglądu Kulturalnego”

Piotr i Maria, Początek, Stefka Więckówna... ich sprawy i troski wydobyte zostały przez pisarza z masy realnych, nowych, tętniących życiem faktów i podniesione do rangi literackiego symbolu. Żadna z tych postaci, żaden z konfliktów nie ma w sobie nic ze schematyzmu, ze starej konwencji pisarskiej, ze sztampy.

(Nowa Kultura — 12.8.51)

Sprawa Stefki i Jurka pozostawia czytelnika obojętnym, zbyt bowiem blade i schematyczne są to postaci, nie dorastające właśnie do rangi symbolu literackiego, lecz odczuwane wyraźnie jako ilustracja pewnych sytuacji społeczno - życiowych.

(Nowa Kultura — 21.10.51)

Toteż nic dziwnego, że perypetie uczuciowe Jerzego Wałaszczyka, studenta Akademii Górniczo - Hutniczej i murarki Stefy Więckówny wyrwywają niejedno westchnienie z piersi słuchaczy. Tak to jest. Święta prawda. Póki Jerzy był zwykłym murarzem „prosta dziewczyna” była mu drogą, jak nikt na świecie, a gdy tylko awansował na studenta, Stefka „odwodziła” mu się nagle... Ciekawe czy wrócił? Czy się pogodzili? Zastłuchane twarze pochylały się ciekawie nad książką. I ostatnie westchnienie ulgi; jednak wrócili do siebie.

(Ilustr. Kurier Polski, Bydgoszcz — 7.8.53)

Przeciwieństwo opowiadań i powieści, obciążonych balastem schematyzmu i słodkiutkiego optymizmu stanowi nowa książka Mariana Brandysa „Początek opowieści”.

(Twórczość — Siepień 1951)

Schematyzm? To u Brandysa jest...

(Życie Literackie — 16.9.51)

zestawienia dokonał Marian Wadecki

uciążliwy. „Po co ta mowa?” — chciałoby się zapytać po warszawsku. Przecież wszystko i tak zobaczyć można na „złączonych obrazkach”.

Otóż nie wszystko

Owe bowiem „obrazki”, choć mają na ogół wymowę niedwuznaczną, mówią niewiele. Ukazują powierzchownie zjawiska nie sięgające w głąb. Stąd płynnie owa troska o pokierowanie wzroku, któremu komentarz ma podsunąć to, czego nie pokazały „obrazki” (nie podsuwa zresztą).

Jest to wynikiem samej koncepcji filmu, który — pragnąc załatwić mnóstwo spraw — żadnej właściwie nie załatwia, poprzestając na jej konspiekcję. Nie ma w nim miejsca, ani czasu na dokładniejszą charakterystykę działających osób, na jakąkolwiek motywację ich postępowania”.

Kochany człowiek! Z ust mi to wszystko wyjął. A już byłam skłon-



Rys. K. Gosiewska

na poddać się surowej samokrytyce, nauragając sobie od zacońców, malcontentów, wykrywających się na naszą młodą sztukę filmową i zgola jej nierozumiejących... Już chciałam w pokorze serca uznać potrzebę niezmordowanych zabiegów Łapickiego...

Oddechnął. I nagle, podczas porządkowania torebki, wpadł mi w ręce program „Sprawy do załatwienia”. Kupiłam go, wchodząc do kina, lecz wówczas nie przeczytałam: nie lubię streszczeń obrazu przed jego obejrzeniem. Przejrzałam go teraz — i cóż za konsternacja!

„Filmowcy polscy, pokazując tematy, które najwyżej obchodzą prostego człowieka w budowanej przez niego Polsce, nie mogli pominąć faktu, że, obok pięknych i decydujących o przyszłości stron naszego życia, znajdujemy w nim jeszcze wiele przejawów zacofania, niejedną pozostałość obcych form życia”.

Toteż śmiejemy się serdecznie widząc, jak realizatorzy filmu demaskują nieubłagane najstarsze zakonspirowanych skodników”.

(Śmiejemy się? Skąd ta pewność?)

„Sprawa do załatwienia” działa wielką siłą zjawiska tak zdawałoby się „niepoważnego”, jak śmiech. Podwójną siłą burząca i budująca. I dlatego ta nowa polska komedia filmowa jest filmem potrzebnym”.

To się nazywa entuzjazm. Ale nie zdołam go podzielić. Trapi mnie tylko wątpliwość: czybyż signum (płaz) pochodziło od nazwiska Płażewskiego? Tego wcale surowego krytyka, który w „Życiu Literackim” mówi o „grubej nici”, o banalności, zlepku, nieporozumieniu i naiwności? O sztucznych konfliktach — i nudzie?

Nie. Nie potrafię w to uwierzyć.

Janina Dzidowna

(Wg Massa i Czerwińskiego)

Fraszki

JULIAN TUWIM

Na dyskusję o „dwudziestolecu”

— „Ciekawa ta dyskusja!” powiedział mi pewien

Literacki gaduła z wrodzonym zapalem.

— „A o co chodzi?” — „Nie wiem, bo jej nie czytałem”.

— „To tak jak ja”, powiedziałam, „czytałem, więc nie wiem”.

KONRAD BROSCZYK

O pewnej Ewie

To pierworodny był grzech jej, który

Zowie się: Zarys literatury.

EDWARD FISZER

Na notorycznego nowatora

Najlepiej pisze, kiedy się obraża

Sam bierze wtedy wzór z kataryniarza.

EUGENIUSZ ŻYTOMIRSKI

Fraszki miłosne

Z wrot

Zwrot ku miłości? Świetnie. Ale myślę o tem,

Ze zwrot ten stać się może wnet...

utartym zwrotem. I poszedł. I nie wraca. Wciąż materiał zbiera.

WŁODZIMIERZ BORUNSKI

W KINIE I GDZIE INDZIEJ

Szkic z natury

Wisił raz obraz na wystawie:
Więś. Łąka. Lasek szumi...
Dziewczęta leżą sobie w trawie...
Leniwe płynnie strumień...
Do ciemnobłękitnawej wody
Zagłada słońce płocze...

Malarz był jeszcze bardzo młody,
Nerwowo przy tym trochę.

Choć w kółku znawców się obracał,
Miał kram ze swym obrazem.
Czy zła, czy dobra jego praca
Nie wiedział sam tym razem.

Nagle dwóch recenzentów dojrzał,
Z nich jeden rzekł: — Bolesci
Dostaje, kiedy na to spojrze,
Tu sensu brak i treści.
To szmira, kicz, to zła rutyna! —
(I malarzowi zrzęda mina).

A drugi usiłował dowieść,
Ze nikt nie umie lepiej.
Ze malarz zuch jest, co się zowie,
Ze to współczesny Repin.
Ze sam Rafael by go cenil...
(I malarz w mig się rozpromienil).

— Nie, to bohomaż. Przy tym diablo
Naiwny, schemat sam i szablon!
Ten błazen chyba nie miał oczu!
(I malarz nagle dreszcze poczul).

— Cóż, kogoś schlaść — bardzo
łatwo,
Spójrz: kompozycja piękna, światło!
Naprawdę dobre dzieło stworzył. —
(A malarz jakby nagle ożył).

— Nie, kompozycja jest nie dobra,
To jest krok wstecz — ten cały
obraz.

Nie zgadzam się! Powtarzam:
szmira!
Gdzie świeżość, gdzie tu własny
wyraz?! —

— Ach, ileż w tobie żółci, złości,
Tu nie ma szmiry wcale!
I nie ma żadnej wątpliwości,
Ze to jest wielki talent... —

Nic biedny malarz nie rozumie
W tej dziwnych słów ulewie,
A czy coś umie, czy nie umie
Niestety, tego nie wie.

Bo jeden krytyk jeździ po nim
I gani bez ładu,
A drugi chwali go i broni
Do nieprzyzwoitości...

Raz dobre słówko, raz złe rzuca,
Raz radość, raz — żaloba...
I tak się kłóca,

kłóca...

kłóca...

A kto z nich gorszy?

Obaj.

(Wg Massa i Czerwińskiego)

Taktyka „słuszności” i taktyka prawdy

Jeszcze raz chcę powrócić do książki Jerzego Płażewskiego „Szkice filmowe”, o której już wspominałem, nie starając się zresztą dawać recenzyjnej oceny tej książki. Nie chodzi mi o to i dziś, wydaje mi się natomiast celowe zabranie głosu w sprawie dyskusji, jaka wywiązała się dookoła tej książki. Jest to dyskusja w istocie swojej poruszająca zasadnicze zagadnienie taktyki naszej publiczności i krytyki filmowej.

Płażewski napisał „Szkice filmowe”, zbiór rozszerzonych felietonów na tematy filmu, jego zagadnień warsztatowych i artystycznych. Napisał jak mógł najlepiej i chciał dać wyraz swojemu pogładowi na te sprawy, w myśl powiedzenia Marii Dąbrowskiej, które odnieść można nie tylko do pisarzy, że „pisarz i artysta to ktoś, kto nie tylko wyraża swoją epokę, ale ma coś do powiedzenia o swojej epoce”. Tymczasem w dyskusji o tej książce zaczęło się nieporozumienie: jedni, mówiąc pozytywnie o książce twierdzili, że sięgają do niej jak do podręcznika; inni ganiąc ją, ganiłi za to, że dezorientuje jeśli idzie o ujęcie niektórych problemów historii filmu polskiego czy nawet teorii realizmu w filmie; jeszcze inni mówili, że książka zawiera wiele niesłusznych sformułowań. Oczywiście, w tych zarzutach jest żdźbło, a czasem nawet pud prawdy. Wyrzucić mi się jednak, że taka metoda oceny jest generalnie biorąc niesłuszna. Nie wolno bowiem zapominać, że to co zostało napisane w „Szkicach” nie pretenduje ani do ewangelii, ani do ustawy. Są to po prostu myśli Płażewskiego o filmie, myśli różne, prawdziwe i nie, można się z nimi zgadzać lub nie, ale nie wolno podciągać ich pod miarke słuszności, bowiem ta „słuszność”, o której mówią krytycy „Szkiców” są to prawdy ogólne, znane, „prawdy z urzędową pieczęcią”, i nie bęłyby dobrze, abyśmy znaleźli je w kanonicznej formie powtórzone na kartach „Szkiców”.

Trzydzięci lat temu Karol Irzykowski rozpoczął swoją „Dziesiątą muzę” następującym zdaniem: „Sprawili mi przyjemność rozmyślać nad kinem, jako dziedziną jeszcze przez myślicieli nie tkniętą”. Irzykowski napisał książkę z dzisiejszego punktu widzenia genialnie wprost niesłuszną (Engels pisał w „Anty-Dühring” o teorii ekonomicznej jednego z angielskich badaczy przedburżuazyjnych woła: „Są to bezdroża, ale genialne!”), ale książkę, która do dziś dnia spędza sen z oczu krytykom filmowym. Dlatego, że „Dziesiąta muza” była, pomimo swej niesłuszności książką o szerokiej perspektywie intelektualnej, która puszczala wodze naukowej fantazji, widząc przed sobą dziewięć przestrzeni kinematografii. Dlatego, że nie było w niej nie potworzonego, wszystko było nowe, własne, Irzykowskiego.

Nam chodzi o nowy, realistyczny film polski, którego powstawaniu krytyka ma sekundować. Musi odczytać sekundować poważnymi, zasadniczymi badaniami, ale nie może to również zabraknąć inicjatywy, czasem nawet, jak ktoś to określił, „bomby” krytyka-felietonisty. Felietonista, jakim jest Płażewski, ma prawo dla nowej myśli sprzedać własnych rodziców, jeśli tylko zdoła przez to otworzyć jakieś nowe widoki i nie wolno nakłaniać go, żeby pisał „słusznie”, to znaczy tak, jak piszą wszyscy inni jak się przyjęło. Taktyka „słuszności” ponad wszystko jest bowiem jednocześnie taktyką martwoży. Nikt nie będzie dyskutował nad „słusznym” zdaniem, nikomu ono w niczym nie pomoże, najwyżej zmunufikuje powszechnie uznany sąd.

Czy znaczy to, że należy pisać bzdury jak w piosence Boulanger’a, „nie koniecznie z sensem, byle ładnie”, nabijać się z czytelnika? Nie, po stokroć nie! Trzeba pisać to, co się uważa za prawdę, trzeba pisać prawdę, wynikającą z własnego, głębokiego przekonania krytyka. Krytyk, prawdziwy krytyk, jest niemniej odpowiedzialny za los kultury niż dyrektor departamentu w ministerstwie i za to bierze społeczne pieniądze, żeby szukał nowych, dobrych, prawdziwych dróg. Nie żeby powtarzał rzeczy „słuszne”, ale je weryfikował, nicował, przetrząsał ich skrytki w imię prawdy. Niesłuszne zaś jest to, co nie jest odkrywcze.

„Nie dobrze, ale jak z tą prawdą, czy jest ona niesprawdzalna? Prawda krytyka wyryfikuja fakty: te, które już są, i które nastąpią, które musi przewidzieć. Z krytykiem trzeba polemizować w jego nowych, śmiałych osadach, na podstawie faktów je popierać. Nie wolno natomiast zapominać, że uznana słuszność nie jest punktem docięcia, ale jedynie startem dla myślącego krytyka; przed nim jest pole, które sam, po raz pierwszy zabudował. Trzeba wejść z nim na to pole, a nie wołać z tyłu: „hop hop! poczekaj!”

Nie zachwycać się „Szkicami filmowymi” ale nie dlatego, że są w nich próby nicowania przyjętych sformułowań, ale dlatego, że pole, które odkrył Płażewski niewiele przekracza rozmiar działki doświadczalnej. Krzysztof T. Toeplitz

Redaguje Zespół Adres redakcji: Warszawa, ul. Żurawia 32. I p. Telefony: 8 86-11 — Sekretariat, — Red. naczelny 8 79-38. Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska 12, tel. 8 00 81. Kolportaż: P P K „Ruch”, Oddz w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804 20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4 60, kwartalnie zł 13 80, półrocznie zł 27 60, rocznie zł 55 20. Wpłaty na prenumeratę indywidualną przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa” Warszawa, Poznańska 38, konto PKO 1-111-5589, tel. 8 23-09. Rękopisy niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Włókielodrukowe RSW „PRASA” Warszawa, Marszałkowska 3/5.